

Dziedzictwo pamięci

Niektóre historie rodzą się w chwili, gdy ktoś puka do drzwi w środku nocy.



Isabella Skrypczak, tłumaczka syberyjskich wspomnień swojej babci

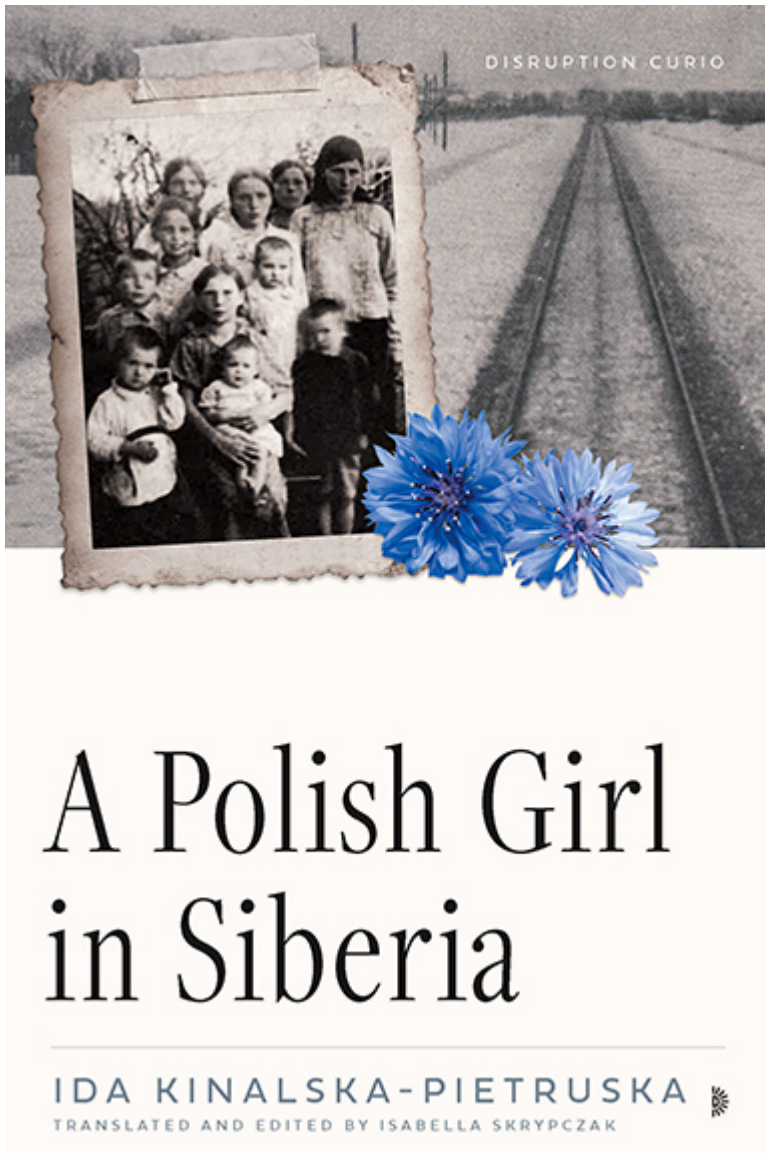
Z Isabellą Skrypczak - tłumaczką książki swojej babci Idy Kinalskiej-Pietruskiej „A Polish Girl in Siberia” - rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Historia XX wieku zapisała się w pamięci Europy wieloma

tragediami. Nie wszystkie jednak są równie obecne w świadomości świata. W cieniu opowieści o II wojnie światowej pozostaje dramat setek tysięcy Polaków deportowanych przez władze sowieckie na Syberię i do Kazachstanu.

Jedną z nich była Ida Kinalska-Pietruska. Miała zaledwie sześć lat, gdy w 1940 roku sowieccy żołnierze wyważyli drzwi jej domu i wraz z matką wysłali ją w podróż w nieznane — w bydlęcych wagonach, w głąb imperium Stalina. Jej wspomnienia z tamtych lat — zapisane z perspektywy dziecka — stały się przejmującym świadectwem czasu.

Po latach historia ta otrzymała nowe życie dzięki wnuczce autorki, Isabelli Skrypczak, która przetłumaczyła te wspomnienia na język angielski i opatrzyła je własnym komentarzem. Dzięki temu opowieść o deportacji, przetrwaniu i niezwykłej sile człowieka trafia dziś do nowych czytelników.



*

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Urodziła się Pani i wychowała w Houston, ale świetnie mówi Pani po polsku. Jaką Polskę poznała Pani podczas wakacyjnych wyjazdów do babci?

Isabella Skrypczak: Wychowałam się w domu, w którym

mówiło się wyłącznie po polsku, dlatego język polski jest moim pierwszym językiem. Rodzice wysyłali mnie do polskiej szkoły w Houston, więc polskość zawsze była częścią mojej tożsamości. Lata spędzone z rodziną w Polsce również mnie ukształtowały.

Poznałam Polskę lat 80. Pamiętam biedę, szarość, brak podstawowych rzeczy i betonowe bloki. Odczuwałam wtedy smutek, jakby brakowało mi części własnej duszy. Potem przyszły lata 90., kiedy Polska zaczęła transformację — znów niepodległa, otwarta, jakby nareszcie mogła oddychać. Pamiętam jednak, że ta przemiana nie była łatwa i wymagała czasu. Po ulicach jeździły „maluchy” (Fiat 126p), polonezy, a także pojawiały się pojazdy konne, tzw. furmanki. Pamiętam domy na wsiach kryte strzechą, czyli dachami ze słomy. Większość ludzi mieszkała w blokach, a na weekend wyjeżdżała na swoje małe działki poza miastem.



Iza, jako krakowianka, fot. arch. autorki
Sklepów było niewiele, a towarów na półkach brakowało. Babcia leczyła biednych ludzi na wsi, a w zamian otrzymywała jajka, kiełbasę, śmietanę czy mleko. Nie było Internetu, tylko dwa kanały w telewizji, więc wraz z innymi dziećmi spędzaliśmy większość czasu na dworze, często boso. Jakie cuda wtedy wyprawialiśmy... To są moje najpiękniejsze wspomnienia z dzieciństwa.

Pamiętam też lata 2000., kiedy Polska weszła do Unii Europejskiej i NATO i bardzo się rozwinęła. Powstały nowe domy i sklepy, na ulicach pojawiły się różne marki samochodów. Przyjeżdżając do kraju, odczuwałam ulgę, że świat wreszcie docenił Polskę i Polaków. Pracowałam wtedy jako stażystka w

kancelarii prawniczej, wolontariuszka w organizacjach charytatywnych oraz studentka na wymianie w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie.

W Polsce zawsze czułam się bardziej akceptowana niż w USA — jakbym należała do tego samego plemienia. Oczywiście, czasem nazywano mnie „Amerykanką”, pytano, czy w Teksasie jeżdżę do szkoły konno albo śmiano się z mojej polskiej gramatyki. Jednak w porównaniu z doświadczeniem w Stanach byłam tu bardziej u siebie. W USA, mimo że się tam urodziłam, często czułam się obca.

Dziś Polska, którą widzę, jest kolorowa, stabilna, zamożna i pełna środowisk, które dążą do gojenia ran i traum poprzednich pokoleń. Cieszę się, że i ja mogę w tym uczestniczyć.



Cztery pokolenia kobiet w 1988 roku - 52 lata po zakończeniu wojny. Od

lewej: Leokadia Sidorowicz, Ida Teresa Kinalska (babcia autorki), Małgorzata Kinalska (mama autorki) i Isabella Skrypczak, fot. arch. autorki

*

Historia Pani babci zaczyna się jak scena z dramatu — noc, żołnierze sowieccy, deportacja na Syberię. Kiedy po raz pierwszy usłyszała Pani tę opowieść i jak wpłynęła ona na Panią?

Pamiętam, że gdy byłam bardzo mała — miałam około dwóch lat — moja babcia opowiadała komuś, jak sowieccy żołnierze w środku nocy, z bronią w ręku, wtargnęli do jej domu. Nie zdawała sobie sprawy, że byłam w pokoju i to słyszałam. Ogarnął mnie wtedy ogromny strach, jakby ta historia dotyczyła bezpośrednio mnie.

Czyli to wczesne doświadczenie tak na Panią wpłynęło, że — jak pisze Pani w przedmowie — jako dziecko w Teksasie odczuwała Pani strach przed „sowieckim żołnierzem”, choć wojna dawno się skończyła. Czy to przykład tego, jak trauma przenosi się między pokoleniami?

Po latach terapii, pracy nad sobą oraz zgłębiania wiedzy o

traumie pokoleniowej i epigenetyce — także w pracy z klientami, gdzie dzielę się swoim doświadczeniem — wiem już na pewno, że był to przykład traumy przekazywanej między pokoleniami. Przeprowadzono na ten temat wiele badań i powstało wiele prac naukowych, które to potwierdzają.



Leokadia Sidorowicz i Włodzimierz Soroko - rodzice babci autorki,

gdy zaczęli się ze sobą spotykać, fot. arch. autorki

Czy Pani babcia długo milczała o swoich doświadczeniach z Syberii, czy raczej opowiadała o nich rodzinie?

Babcia rozmawiała o tym z bliskimi — w domu, w pracy, z sąsiadami. Opowiadała także podczas podróży. Mówiła, że

została zesłana z mamą, że nie wiedziała nic o ojcu, wspominała głód i ludzi, którzy jej pomogli. Były to jednak raczej ogólne opowieści — nie wchodziła w szczegóły.

W tych rozmowach wyczuwaliśmy ból, lęk, żal po utraconym dzieciństwie i tęsknotę za ojcem. Dopiero kiedy opisała swoje doświadczenia w książce i szczegóły jej gehenny zostały przelane na papier, zrozumiałam, skąd pochodziły również moje emocje.

Co było impulsem, aby pokazać tę historię amerykańskiemu czytelnikowi?

Na początku przetłumaczyłam opowieść babci dla mojej córki — nie byłam pewna, czy będzie na tyle znała język polski, by móc ją kiedyś przeczytać w oryginale.

Potem wybuchła wojna w Ukrainie. Mam korzenie lwowskie ze strony dziadka, więc poczułam ogromny ból, że znów wojna dotyka moją rodzinną ziemię. Babcia przyjęła wtedy pod swój dach młodą Ukrainkę i jej ośmioletnią córkę Kirę.

Rozmawiałam z nimi wiele razy przez FaceTime. Widziałam, jak Kira była przerażona — oddychała płytko, jej ciało było sztywne, trudno jej było odpowiadać na proste pytania. Było widać, że doświadcza zespołu stresu pourazowego.

Babcia powiedziała jej wtedy:

„Kira, kochana moja, wiem, jak to jest. Rosja też napadła mój kraj, też musiałam mieszkać z obcymi ludźmi, też się bałam. Ale przeżyłam. I ty też przeżyjesz. Znów będziesz w swoim domu. Teraz jesteś bezpieczna”.

Widziałam, jak moja 88-letnia babcia uspokaja dziecko — jakby mówiła do samej siebie sprzed lat.

Wtedy zrozumiałam, że nie mogę pozostać bierna. W Kirze zobaczyłam moją babcię. I moją córkę. Postanowiłam przetłumaczyć i wydać książkę, aby dzieci takie jak Kira mogły żyć w spokoju — i aby żadne dziecko na świecie nie musiało się bać.



Leokadia Sidorowicz (u góry pośrodku) oraz jej córka Ida z przyjaciółmi w 1936 roku, fot. arch. autorki



Włodzimierz Soroko (pierwszy z prawej), w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, najprawdopodobniej w Palestynie w 1942 roku, fot. arch. autorki

*

Jak wyglądał proces przenoszenia tej bardzo osobistej opowieści na język angielski?

Proces był długi i wymagał wielu przerw, aby dobrać

odpowiednie słowa. Język polski pozwala wyrazić niezwykle subtelne stany emocjonalne. Kiedy przetłumaczyłam tekst babci na język angielski, zorientowałam się, że brakuje w nim tego, co zawierała babcia — uczuć i obrazów działających na wyobraźnię czytelnika, pozwalających mu utożsamić się z bohaterką.

Musiałam więc przekonstruować całość i w wielu miejscach dodać opisy, aby właściwie oddać sens i emocje oryginału.

Kiedy przetłumaczyłam część opowieści kończącą się na wyjeździe z Syberii, zdałam sobie sprawę, że to przecież nie jest koniec tej historii. Rozmawiałam więc z babcią przez wiele godzin, przeprowadziłam dziesiątki wywiadów, aby uzupełnić jej opowieść. Jej dwuletnie doświadczenia w Charkowie były niezwykle trudne. Również wyjazd z Ukrainy do Polski nie należał do łatwych.

Rozmawiałam także z moją mamą, która przesyłała mi artykuły o moim pradziadku oraz dokumenty dotyczące osiągnięć babci w jej karierze medycznej. Wszystkie te materiały dokładnie przeanalizowałam i włączyłam do książki.



Grupa uczniów na stepie. Ida jest u góry po lewej, uśmiechnięta, fot. arch. autorki

Następnie wysłałam całość mojemu ojcu. Powiedział: „Iza, to jest świetne. Ale świat anglojęzyczny nie będzie rozumiał ani sowieckich terminów, ani naszej historii — trzeba dodać więcej kontekstu”. Uznałam, że ma rację. Sięgnęłam więc do książek historycznych, takich jak *Gułag* i *Borderlands of Eastern Europe* Anne Applebaum czy *Europe: Between East and West* Normana Daviesa.

Po tej lekturze uzupełniłam książkę o szerszy kontekst historyczny. Zająłoby to dużo czasu, ponieważ zależało mi na rzetelności. Całość została następnie sprawdzona przez moją matkę chrzestną, która współpracowała z ONZ i jest znakomitą historyczką, a także przez zespół „fact-checkerów” w moim wydawnictwie.

W książce pojawia się refleksja, że w amerykańskiej edukacji dużo mówi się o II wojnie światowej, ale niewiele o deportacjach Polaków do Związku Sowieckiego. Dlaczego Pani zdaniem ta część historii wciąż jest tak mało znana?

Związek Sowiecki należał do aliantów. Stany Zjednoczone wraz ze Stalinem wygrały wojnę. Po jej zakończeniu Ameryka zaangażowała się w procesy norymberskie, a ponieważ rozpoczęła się już zimna wojna, włączenie Stalina do tych procesów mogłoby jeszcze bardziej zaostriżyć napięcia.

W rezultacie nasza historia stała się w pewnym sensie „niewygodna” i przez lata pozostawała na marginesie, aby nie prowokować dodatkowych konfliktów politycznych i nie drażnić Stalina.

Czy podczas tłumaczenia były momenty szczególnie trudne emocjonalnie – kiedy historia przestawała być historią, a stawała się osobistym doświadczeniem?

Oczywiście — było wiele takich momentów. Najtrudniejsze były dla mnie fragmenty dotyczące rozdzielenia babci z ojcem, głodu, samotności oraz niemożności powrotu do domu.

To tak, jakby ktoś wymazał setki lat historii rodzinnej — jakby ona nigdy nie istniała. Najbardziej poruszyła mnie dehumanizacja człowieka.



Pierwsze zdjęcie szkolne Idy po powrocie do Polski z Syberii, w wieku czternastu lat, fot. arch. autorki

Historia Pani babci to nie tylko opowieść o cierpieniu, ale także o niezwykłej sile przetrwania. Czy widzi Pani szczególne cechy, za które Pani podziwia babcię?

Babcia ma niezwykłą intuicję. Z łatwością nawiązuje relacje z ludźmi i przyciąga ich do siebie. Ma też ogromną wewnętrzną siłę, którą emanuje.

Po powrocie z Syberii Pani babcia została wybitną lekarką i naukowcem — diabetologiem i endokrynologiem, laureatką m.in. dwóch doktoratów honoris causa. Czy uważa Pani, że doświadczenia z dzieciństwa wpłynęły na jej późniejszą drogę życiową?

Wierzę, że jej osiągnięcia były związane z tym, co otrzymała od zwykłych ludzi na Syberii — z darem serca. To była energia dobra, którą dostała od innych w czasach strachu i tułaczki. Myślę, że nosiła ją w sobie przez całe życie i przekazywała dalej — swoim pacjentom i ludziom wokół siebie.

Mówi Pani o tłumaczeniu tej książki jako o „akcie miłości”. Czy czuje Pani, że ta publikacja zamyka pewien rozdział w historii rodzinnej, czy raczej go otwiera?

Ta książka pozwala mojej rodzinie lepiej zrozumieć samych siebie, nasze relacje i nasz świat. Pomaga zrozumieć nasz ból i się od niego uwolnić — oddzielić własne doświadczenia od traum odziedziczonych. Uczy nas szacunku do historii rodzinnej, ale bez przenoszenia jej ciężaru na kolejne pokolenia.



Isabella Skrypczak z babcią, Idą Kinalską-Pietruską, fot. arch. autorki

Czy ma Pani poczucie, że poprzez tę książkę daje Pani głos nie tylko swojej babci, ale całemu pokoleniu dzieci deportowanych na Syberię?

Zdecydowanie tak. To nie jest tylko historia mojej babci i zesłanych Polaków. Dotyczy również wielu innych narodów — rosyjskiego, ukraińskiego, białoruskiego, żydowskiego czy mieszkańców krajów bałtyckich. Jest nas wielu na świecie.

Jaką uniwersalną i wciąż aktualną naukę można wnieść z tej książki?

Myszę, że siła życia jest najpotężniejszą siłą na świecie. Że ludzki ból jest prawdziwy i warto go zauważać oraz odpowiadać na niego współczuciem. Że liczą się gesty płynące z serca. Że człowiek, pozbawiony etykiet, jest święty.

Jeśli zrozumiemy przeszłość naszej rodziny i uporamy się z traumą pokoleniową, możemy odnaleźć spokój. A może wtedy będziemy w stanie stworzyć świat bez wojen.

*

Zapraszamy na spotkanie z autorką w księgarni Book People w Austin:



Isabella Skrypczak
with Rachel Merrill Moss
Friday, April 10 at 7 PM

DOY
DOY
DOY
community

AUSTIN
POLISH SOCIETY

Book People
A Community Bound by Books.

Syberyjscy zesańcy
w opowiadaniach
malarza Aleksandra
Sochaczewskiego



Aleksander Sochaczewski, fot. wikipedia

Aleksander Sochaczewski urodził się 3 maja 1843 r. w osadzie Iłów pod Sochaczewem. Od 1858 r. studiował malarstwo w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Od początku lat 1860. brał udział w manifestacjach patriotycznych, zajmował się też kolportażem nielegalnych wydawnictw. Został aresztowany 1 września 1862 r. i osadzony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Podczas rewizji w jego mieszkaniu znaleziono m.in. broń, formy do odlewania kul, tajną prasę itp. W rezultacie 24 kwietnia 1863 r. został skazany na karę śmierci, zamienioną następnie na 20 lat katorgi na Syberii. Odbywał karę w warzelniach soli w Usolu koło Irkucka. Po kilku latach na mocy amnestii zamieniono mu resztę kary na zesłanie. Przez pewien czas mieszkał w Irkucku, później w Permie. Po powrocie z

Syberii w 1883 r. wyemigrował do Monachium, gdzie żył i pracowało wielu polskich malarzy. Później zamieszkał w Brukseli, a w 1901 osiadł na stałe w Wiedniu, gdzie zmarł w 1923 r. W 1913, w pięćdziesiątą rocznicę powstania styczniowego, po wystawie we Lwowie Sochaczewski przekazał radzie miejskiej Lwowa kolekcję obrazów w zamian za dożywotnią rentę. W 1956 r. Ministerstwo Kultury ZSRR przekazało Polsce kolekcję obrazów Aleksandra Sochaczewskiego. W setną rocznicę powstania styczniowego (1963), wyeksponowano kolekcję w Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej.

(Na podst. wikipedii).

*



Aleksander Sochaczewski, W drodze na katorgę, ekspozycja stała Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej

Anna Milewska-Młynik (1950-2018)

Aleksander Sochaczewski zyskał miano malarza syberyjskiej katorgi, gdyż pozostawił po sobie ponad 120 płócien stanowiących unikalną dokumentację losów zesłańców. Jednak nie wszystkim wiadomo, że artysta parał się również literaturą. Po powrocie z zesłania napisał kilka nowelek, w których sportretował ludzi napotkanych w Rosji. W 1906 roku berliński wydawca Richard Schott opublikował je pod tytułem *In Sibirien. Novellen von einem politischen Verbannte*.

W kraju książka Sochaczewskiego chyba nie wzbudziła szerszego zainteresowania, na co złożyło się kilka przyczyn. Z jednej strony

była ona trudno dostępna dla polskich czytelników, a z drugiej – niezbyt dla nich interesująca, gdyż w niewielkim tylko stopniu wzbogacała wiedzę o ludziach ukaranych za przestępstwa polityczne. Trzeba też dodać, że pod względem literackim ustępowała ona poczytnym i wysoko cenionym przez krytyków pracom, mieszczącym się w nurcie zesłańczej prozy.

Wydaje się jednak, że nowele zasługują na bardziej wnikliwe spojrzenie, ponieważ sporo mówią o ich autorze, pozwalając przede wszystkim poznać pewne rysy jego osobowości. Narrator, który jest jednocześnie uczestnikiem opisywanych wydarzeń, po swojemu je interpretuje, ocenia zachowania bohaterów, omawia rzeczywistość z typową dla niego wrażliwością na sprawy tego świata. Tym samym zaznajamia czytelników z własnymi poglądami moralnymi i społecznymi.

Nie mniej ważny jest fakt, że nowele pozwalają lepiej zrozumieć całą twórczość Sochaczewskiego, gdyż jego malarstwo i utwory literackie w pewnym stopniu uzupełniają się. Zawarte w nich treści dotyczą dwóch aspektów tego samego zagadnienia, koncentrując się bądź na rzeczywistości jawnej, bądź na niedostępnej dla większości postronnych osób. Dzieła malarskie ukazują bowiem zewnętrzny obraz syberyjskiej udręki, zaś nowele odtwarzają portret wnętrza cierpiącego człowieka.



Aleksander Sochaczewski, Branka Polaków do armii rosyjskiej w 1863 r., fot. wikipedia

Bohaterami swoich utworów literackich uczynił Sochaczewski wyłącznie Rosjan. Fakt ten może zastanawiać, ponieważ autora powszechnie uważa się za kronikarza martyrologii zesłanych Polaków. Jest to oczywiście opinia prawdziwa, gdyż Sochaczewski faktycznie kierował się przede wszystkim pragnieniem przedstawienia narodowej tragedii. Trzeba jednak dodać, że względy patriotyczne nie były dla niego jedynym źródłem inspiracji. Artysta nie zawłaszczwał Syberii dla cierpiących Polaków, ale malował całe zesłańcze otoczenie. W przedmowie do katalogu krakowskiej wystawy jego prac tak scharakteryzował swoje najwybitniejsze dzieło, zatytułowane „Na granicy Syberyi”:

Oto przedmiot mego obrazu: starałem się przedstawić rozmaite typy wygnańców w strasznej chwili (utruty nadziei na odmianę losu). Są to skazańcy polityczni i zwykli zbrodniarze, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, różni wiekiem, pochodzeniem i stanowiskiem społecznym.

Wśród wykonanych przez Sochaczewskiego portretów, studiów i szkiców znajdujemy sporo postaci reprezentujących obce środowiska. Są to wizerunki rosyjskich zesłańców politycznych: Mikołaja Czernyszewskiego, Piotra Zajczniewskiego, Afanasija Szczapowa, przedstawiciele arystokracji narodów podbitych: książąt Yoppe-Beya z Zakukazia i Kajsakowa z Niziny Turańskiej, a także kupca moskiewskiego, Rusinek, włóczęgi - „brodiagi”, handlarza - „majdańczyka”, sekciarza - sobotnika Prokopa, rosyjskiego chłopca - „desperaty”, Wańki rozbójnika czy szubrawca.

Sochaczewski napisał, że bohaterów jego prac łączy „ten sam niezmierny ucisk moralny”. Wydaje się, że to właśnie stwierdzenie jest niezwykle istotne dla zrozumienia całej twórczości artysty.

Po powrocie z zesłania i krótkim pobycie we Lwowie, Sochaczewski wyjechał na stałe za granicę. W tym właśnie okresie powstały jego najważniejsze obrazy i nowele. Zawarte w

nich treści niezbicie dowodzą, że mimo upływu lat nie potrafił uwolnić się od emocjonalnego przeżywania Syberii. Biografie artysty – Helena Boczek i Beata Meller, na podstawie relacji jego ówczesnej żony Róży napisały, że Sochaczewskiego prześladowały lęki i przywidzenia.

W środku nocy zrywał się z opętającym krzykiem, czasem chwycił za broń, biegał po sypialni, a kiedy powracała świadomość, zamykał się w pracowni, brał pędzel do ręki i malował przez kilka, a czasem kilkanaście godzin. Nie jadł, nie spał i do nikogo się nie odzywał. Powstawały w tym czasie portrety ludzi, z którymi odbywał katorgę. Aleksander zwierzał się przyjaciółom, że ciągnąca się latami beznadziejna samotność, bezradność wobec zła i przemocy, i związany z tym nieustępliwy strach, uczyniły w jego psychice nieobliczalne spustoszenia.

Ogarnięty obsesją artysta zapewne nie mógł podejmować w swojej sztuce tematów obojętnych. Dlatego jego dzieła nacechowane były cierpieniem, którego źródło wypływało z syberyjskich doświadczeń. Uczuciu temu podlegali wszyscy skazańcy, niezależnie od ich narodowości czy pozycji społecznej. Część z nich ponosiła zasłużoną karę za popełnione zbrodnie, inni cierpieli za winy, które w oczach Sochaczewskiego znajdowały moralne rozgrzeszenie. Jak się wydaje, artystę

interesowali przede wszystkim ci ostatni. Na zesłaniu spotkał zbrodniarzy, którzy z natury byli ludźmi etycznymi. Dla nich piekło syberyjskiej katorgi stanowiło kontynuację nędzy istnienia na wolności. Ludźmi tymi byli właśnie Rosjanie – bohaterowie nowel syberyjskich.

Można się zastanawiać, czy we własnym środowisku nie znalazł Sochaczewski osóbznaczonych podobnym cierpieniem. Na to pytanie trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Jeśli nawet spotykał takich ludzi, zapewne nie chciał opisywać ich moralnego upadku, gdyż Syberia stanowiła wówczas dla Polaków symbol męczeństwa najlepszych synów ojczyzny. Sochaczewski także pragnął utrwalić jej patetyczny obraz, czego dowodzi chociażby malarstwo artysty. Wydaje się również, że w swoim najbliższym otoczeniu rzeczywiście nie napotykał rodaków ciężko pokutujących za przestępstwa pospolite.

Stosunkowo niewielka grupa Polaków, z którą miał do czynienia na katordze i po uwolnieniu, stanowiła bowiem elitę wygnańców. Ludzie ci zostali ukarani za działalność patriotyczną, więc cierpieli w szlachetnej sprawie i mieli tego pełną świadomość. Ofiara poniesiona dla ojczyzny nobilitowała też skazańców w oczach otoczenia. W pewnym sensie kara więźniów politycznych była wyróżnieniem, gdyż stanowiła świadectwo najwyższego poświęcenia się dla idei.

Między ludźmi cierpiącymi za działalność polityczną i za czyny kryminalne istniała przepaść, spowodowana nie tylko różnicą moralnego osądu ich przestępstw. Skazańców tych dzieliła bowiem skala rozpacz.



Aleksander Sochaczewski, Wieczór - zakładanie kajdan, fot. wikipedia

Większość zesłańców politycznych nie rozumiała piekła doznań zbrodniarzy i co najwyżej ubolewała nad ciężkim położeniem kryminalistów. Sochaczewski należał tu do wyjątków, gdyż potrafił dostrzec dramat zdruzgotanych ciężarem grzechu winowajców. W noweli *Zamaskowany* przypisał zbrodniarzowi takie oto słowa:

Och ty! I ty kiedykolwiek zdawałeś się być uprawniony do tego, by gniewać się na swój los, za to, że w nagrodę za

twoją miłość do Ojczyzny, rzucił cię aż tutaj na Syberię do kopalni? O ty niewdzięczniku! Na kolanach powinienes Bogu dziękować za tę lekką dolę. Gdybyś chociaż miał tylko wyobrażenie o tej bezgranicznej nędzy, która wyprała nas ze wszystkiego i odczłowieczyła!

Sochaczewskiego jako pisarza interesował przede wszystkim dramat jednostki - ofiary panujących w Rosji stosunków społecznych. Osoby z drugiego planu są albo statystami, nie potrafiącymi skutecznie przeciwdziałać złu, albo wysłannikami, a może nawet egzekutorami losu. Postępowanie tych ostatnich sprowadza się bowiem do nieustannego prowokowania nieszczęśnika, wystawiania go na kolejne próby, które muszą zakończyć się jego klęską. Ich portret psychologiczny jest w gruncie rzeczy bardzo ubogi, gdyż ogranicza się do pokazania ważnej z dramaturgicznego punktu widzenia cechy osobowości. Wobec głównego bohatera są bezwzględnie źli, skrajnie egoistyczni i amoralni, zaś postępując okrutnie, nie przeżywają żadnych wewnętrznych rozterek. Na ich tle wyraziście rysują się tylko dwie obdarzone prawdziwie ludzkimi uczuciami postacie - współczujący narrator i cierpiący bohater.

Jedną z najważniejszych, jeśli nie główną myślą utworów Sochaczewskiego było twierdzenie, że nieszczęście może spotkać każdego. Nawet ludzie prawi, dokładający wiele starań, by

uczciwie przeżyć swoje dni, wpadają w pułapkę złego losu i tracą wszystko. Warto dodać, że ta koncepcja była bliska pojmowaniu występku przez szerokie warstwy rosyjskiego społeczeństwa. Siergiej Maksimow, autor książki *Syberya i ciężkie roboty* zwrócił uwagę, iż tamtejszy lud cechuje fatalistyczne pojmowanie losu człowieka, kształtowanego przez potężne złe moce, których pokonać nie można. Zdaniem Maksimowa „ta rozpacz, ten brak wiary we własne siły jako istoty rozumnej i niezależnej, do tego stopnia wzrosły w świadomość ludu, że popęd do zbrodni nazywał się nieszczęściem”, a zbrodniarza – człowiekiem nieszczęśliwym.



Aleksander Sochaczewski, Muzeum X Pawilonu Cytadeli
Warszawskiej



Aleksander Sochaczewski, Muzeum X Pawilonu Cytadeli
Warszawskiej

W nowelach Sochaczewskiego skrzywdzonymi i krzywdzącymi zarazem są różne osoby, choć nie wszystkie postacie zostały potraktowane z jednakową uwagą. Role głównych bohaterów przydzielał autor tylko pewnej grupie „nieszczęśliwych”. Byli to ludzie, których łączyła wrażliwa i dobra natura. Nad ich życiem zaciążyło jednak złowrogie fatum, doprowadzające niektórych z nich do zbrodni.

W opowiadaniach najbardziej tragicznymi postaciami są mordercy: Karp Iłarionowicz, Iwan Kiryłowicz Kaczugin i Stiepan Markowicz Kariagin. Dwaj pierwsi byli przedstawicielami niższych warstw społecznych – chłopem i synem pomocnika cerkiewnego. Historię ich upadku można postrzegać w kontekście niesprawiedliwości stosunków społecznych panujących w Rosji lub jako przejaw fatalizmu losu.

W poświęconych im utworach zawarł Sochaczewski wiele spostrzeżeń dotyczących relacji między poddanymi, a przedstawicielami lokalnych władz i szlachty, a także podawał przykłady bezkarności grup uprzywilejowanych oraz bierności krzywdzonych ludzi z gminu.

Najbardziej wyraziście zostały przedstawione te problemy w utworze *Nabożny mściciel*. Sochaczewski opisał w nim zamożnych chłopów, których zasobność „wyzwalała chciwość urzędników, isprawników (naczelników policji powiatowej) i innych urzędników”. W noweli czytamy, że obmyślili oni następującą intrygę: koło jednej z zagród podrzucili zwłoki człowieka, który zginął na bezdrożach Syberii z rąk nieznanych zabójców, a następnie oskarżyli mieszkańców sadyby o morderstwo. Jednym z obwinionych był główny bohater utworu, Karp Iłarionowicz. Na nic zdały się tłumaczenia chłopów, że są niewinni. Oskarżeni trafili do więzienia, zaś reszta wiejskiej społeczności nie potrafiła zdecydowanie przeciwstawić się

niesprawiedliwości. Zarówno w czasie aresztowania, jak i później, kiedy młoda małżonka Karpa próbowała wyjednać dla niego ułaskawienie, najbardziej bezwzględny i amoralny okazał się naczelnik. On to właśnie poniżał chłopów, deprawował kobiety, postępował obłudnie wobec łatwowiernych wieśniaków.

Karp z pokorą znosił przeciwności losu, dopóki miara nieprawości się nie przebrała. Kiedy dowiedział się, że naczelnik uwiódł mu żonę postanowił odebrać sobie życie. Jednak w momencie, kiedy próbował się powiesić, pojawili się pątnicy i uratowali go od śmierci. Niedoszły samobójca dostrzegł w tym zdarzeniu zrządzenie Opatrzności. Od tego czasu gorliwie się modlił prosząc o możliwość dokonania zemsty. Uznał bowiem, że jest narzędziem „Bożego sądu karnego”. I wreszcie jego pragnienie ziściło się. W pewien poniedziałek Wielkanocny Karp zamordował naczelnika.

Za swój czyn został skazany na katorgę do Usola, gdzie traktowano go z pewnym poważaniem. Cały czas wierzył, że zostanie wybawiony przez „oświeconego cara”, który zrozumie jego posłannictwo. Według relacji narratora „aż do ostatniego tchnienia miał nadzieję, modlił się i śpiewał hymny kościelne z żalnymi, zawodząco brzmiącymi motywami”. Jednak od męki wybawiła go dopiero śmierć.

Druga nowela, *Śmiejący się Iwan* została oparta na podobnym

schemacie: osoba zajmująca wyższą pozycję w hierarchii społecznej krzywdzi człowieka niżej postawionego, co doprowadza do tragedii. Jej bohaterem jest Iwan Kiryłowicz Kaczugin, biedak cynicznie wykorzystywany i poniżony przez zdemoralizowanego syna dziedzica. Przez całe lata z biernym poddaniem znosił swój los, uznając, że nie ma prawa decydować o własnym życiu. Mimo to czuł, że dzieje mu się krzywda i z czasem na każdą kolejną wyrządzoną mu podłość zaczął reagować histerycznym śmiechem. Choć nie dążył do zemsty, kiedyś, pod wpływem silnego wzburzenia zabił swoich krzywdzicieli. Za ten czyn zesłano go na katorgę, zaś później przebywał w Irkucku, gdzie znany był jako Iwan Smiesznoj. Narrator określił go jako „człowieka zeszmaczonego, wyniszczonego, który tak bardzo był wyzbyty godności, że z udawania pomyłonego zrobił sobie zajęcie zarobkowe”. Podobnie jak bohater poprzedniej noweli Iwan cierpiał po ostatnie chwile swojego życia.

Ukazując mentalność i zachowania skazańców wywodzących się z niższych warstw społecznych oraz reakcje na zło ich najbliższego otoczenia, Sochaczewski trafnie wczuł się w psychikę tych ludzi.



Aleksander Sochaczewski, Pożegnanie Europy, zbiór Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej. Przy obelisku na granicy Europy i Azji grupa zesłańców należących do wszystkich wymienionych wyżej kategorii; jedną z postaci - blisko monumentu, po prawej stronie - jest Aleksander Sochaczewski.

Za panujące bezprawie nie obwiniali cara, ani podległych mu urzędników, nie próbowali też dochodzić swoich racji. By się ratować, uciekali się do sposobów odpowiadających oczekiwaniom ludzi, od których zależał ich los: błagali o litość, próbowali przekupstwa, zgadzali się na utratę godności. Uważali bowiem, że osoby wyżej postawione w hierarchii społecznej mają prawo krzywdzić biedaków. Sochaczewski podaje sporo przykładów potwierdzających ten sposób myślenia: matka Marfy Pietrownej, żony Karpa, była oburzona na córkę, że opierała się „jaśnie wielmożnemu panu, który przecież zastępuje cara”, wieśniacy nie rozumieli, dlaczego niesłusznie więziony sąsiad, po

wyjściu na wolność był przygnębiony, ojciec Iwana zbił go, gdy ten skarżył się na złe traktowanie przez szkolnych kolegów pochodzących ze szlachty. Na bunt mogły zdobyć się najbardziej zdesperowane i wrażliwe jednostki, jednak dochodzenie sprawiedliwości na własną rękę przyplącały obłędem i zesłaniem na katorgę. Ludzie ci zyskiwali uznanie otoczenia nie dlatego, że wymierzili winowajcy sprawiedliwą karę, lecz dopuścili się czynu odważnego, wręcz bluźnierczego, gdyż dokonali zamachu na usankcjonowany porządek świata, dzielący ludzi na panów i poddanych.

Zgodnie z tym rozumowaniem przeciwstawienie się istniejącemu stanowi rzeczy powinno podlegać surowemu społecznemu osądowi. Tak jednak nie było, gdyż zbrodnię uważano za objaw obłędu lub opętania przez diabła. Człowiek nie ponosił więc winy za popełniony czyn, ale wypełniał sądzony mu los. Popularne rosyjskie przysłowie głosiło bowiem: „Złodzieje nie rodzą się, a kogo diabeł omota, ten nie uniknie biedy i grzechu”.

W ostatniej noweli poświęconej zabójcy noszącej tytuł *Zamaskowany Sochaczewski* oskarża rosyjskie patriarchalne stosunki. Bohaterem utworu jest syn rosyjskiego generała, występujący pod przybranym nazwiskiem Stepana Markowicza Kariagina. Zmieniając swoją tożsamość, próbował on uchronić przed hańbą dobre imię swojego rodu, ponieważ dopuścił się straszliwego czynu ojcobójstwa.

Tak jak w poprzednich nowelach, Sochaczewski nie potępia czynu swojego bohatera, gdyż ojciec Stepana dokonał jeszcze okrutniejszego morderstwa, zabijając mu żonę i dzieci. Nie znajduje natomiast żadnego usprawiedliwienia dla starego generała, który planując na zimno zbrodnię „obnażył dzikość i surowość swojej prawdziwej natury”.

Po zabójstwie nie czuł żadnych wyrzutów sumienia.

Siedział spokojnie na krześle z wysokim oparciem [...]. Oczy jego były prawie przesłonięte przez opadające brwi. Połyskiwały spod nich tylko małe świecące punkciki, zupełnie jak u hieny.

Pobladłemu ze zgrozy i roztrzęsionemu synowi powiedział:

Nie potrzebujesz się wcale tak podniecać. Jesteś jeszcze młody. Już ja się postaram o to, żebyś miał i będziesz miał inną żonę – odpowiednią do twego stanu. A co się tyczy tych bękartów...

- tutaj zawiesił głos. Wtedy syn rzucił się na ojca z nożem - tym samym, którym zamordował on jego bliskich.

Historia Stepana miała swój tragiczny finał. Kiedy narrator spotkał go w Usolu, mieszkał w „zwykłej dziurze wykopanej w stromym brzegu rzeki, w brudzie i ubóstwie”. Od dwudziestu lat zajmował się cumowaniem statków przybyłych z ładunkiem wapna. Kilka lat później, gdy narrator mieszkał już w Irkucku, dowiedział się, że na miejscu Stepana pracuje jakiś garbaty.

Opisując historie upadku zwyczajnych ludzi, Sochaczewski ukazał szerszy problem, który stanowił źródło również i jego udręki – bezradność człowieka wobec zła i przemocy. Wymowa tych utworów jest zdecydowanie pesymistyczna. Bohaterowie nowel, wchodząc w konflikt z prawem tracili godność, spokój ducha, majątek i wolność. Ciężar, który musieli nieść, przekraczał ich siły. Sochaczewski negował tym samym chrześcijańską koncepcję, według której Pan Bóg doświadcza człowieka tylko takim krzyżem, jaki może udźwignąć. Swoim bohaterom odebrał też nadzieję na odpuszczenie win.

Choć Karp żarliwie się modlił i pokutował, nie miał szans na prawdziwe rozgrzeszenie, gdyż obrał fałszywą drogę i nie wyraził skruchy. Z kolei Iwan sam nie potrafił znaleźć dla siebie usprawiedliwienia i wiedział, że potworność dokonanego czynu będzie go dręczyć aż do śmierci. Stepana Kariagina prześladowały natomiast myśli o zamordowanej żonie i dzieciach, o okrucieństwie ojca i własnej zbrodni.

Pesymistyczny wydźwięk nowel jest chyba najbliższy prozie Fiodora Dostojewskiego, który przedstawia egzystencję i przeżycia więźniów skazanych za przestępstwa kryminalne. Bohaterowie *Domu umarłych*, odbywający ciężką pokutę na katordze, również nie mają nadziei na moralne odrodzenie. Utwory Sochaczewskiego, pod względem tematycznym wykazują także sporo podobieństw do pisarstwa Włodzimierza Korolenki, który w swoich „obrazkach powieściowych” *Z Sybiru* tworzy wyraziste portrety włóczęgów, osiedleńców i skazańców. Jeszcze więcej łączy je ze *Szkicami* Adama Szymańskiego, ponieważ obydwaj autorzy zajmują się psychologią zbrodni. Szymański nadaje jednak swoim opowiadaniom wydźwięk humanistyczny, pisząc o skrupsie, pokucie i nadziei na odpuśczenie win. Przepojone rozpaczą utwory Sochaczewskiego stanowią więc w polskiej literaturze zesłańczej pozycją wyjątkową.

Jak się wydaje są one wyrazem „nieobliczalnych spustoszeń w psychice” autora, spowodowanych jego syberyjskimi przeżyciami. Zesłanie zabrało mu młodość, nauczyło życia w samotności, podejrzliwości i w strachu, powracało w dręczących go koszmarach. Będąc na wolności nadal pozostawał „więźniem Sybiru”. Nie jest więc wykluczone, że zwątpił w możliwość pokonania zła.

Artykuł ukazał się w lutym, 2005 r. w „Liście oceanicznym”,

dodatku kulturalnym „Gazety” w Toronto.



Aleksander Sochaczewski, stała ekspozycja Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej

Dr Anna Milewska-Młynik (1950-2018) była znawczynią historii zesań Polaków na Syberię w XIX i XX w., historii Kresów Wschodnich, opiekunką Sybiraków i Łagierników, których losy przybliżała przez lata w swoich licznych artykułach, wystawach i wykładach. Jako kustosz dyplomowany była wieloletnim pracownikiem Muzeum Niepodległości w Warszawie, twórczynią Kolekcji Sybirackiej, opiekunką kolekcji o Kresach Wschodnich. Dokumentując losy Polaków represjonowanych na Wschodzie, odwiedziła wiele miejsc na Syberii i w Kazachstanie – miejsc

zsyłek naszych Rodaków. Była m.in. w Workucie, Irkucku, Usolu Syberyjskim, na Wyspach Sołowieckich itp. (armiakrajowa-lagiernicy.pl)

[1] Aleksander Sochaczewski (1843-1923) właśc. Sonder Lejb. Studiował w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Od 1860 r. działał w organizacjach patriotycznych. W 1862 r. skazany na 20 lat katorgi. Pracował w usolskiej warzelnii soli, później przebywał w Irkucku i we wsi Ajnok. Do kraju wrócił w 1884 r.

[2] Utworami wyróżnianymi przez literaturoznawców są dzieła Adama Szymańskiego i Wacława Sieroszewskiego.

[3] *Sybir. Wystawa obrazów Aleksandra Sochaczewskiego*, Kraków 1900, s. 6.

[4] *Sybir...*op. cit., s.6.

[5] W 1884 r. zamieszkał w Monachium, w 1895 r. przeniósł się do Brukseli, a w 1901 r. – do Wiednia, gdzie pozostał do końca życia.

[6] H. Boczek, B. Meller, *Aleksander Sochaczewski. Malarz syberyjskiej katorgi*, Warszawa 1993, s.28.

[7] A. Sochaczewski, *Na Syberii (Nowele politycznego zesłańca)*, oprac. R. Schott, Berlin [1906] w tłumaczeniu B. Siebat, maszynopis w zbiorach Muzeum Niepodległości, s. 92.

[8] S. Maksimow, *Syberya i ciężkie roboty (Sybir i katorga)*, cz. 2, Warszawa 1899, s. 6.

[9] Maksimow, op. cit., s. 6.

Pudełko z Uchty



Poczta polowa, fot. Greg Montani, Pixabay

Ryszard Sawicki (Kalifornia/Namysłów)

*

Uchta jest miastem położonym nad rzeką Uchtą, w dorzeczu Peczory, w rejonie Komi, na drodze do Workuty. W 1966 roku miasto miało pięćdziesiąt jeden tysięcy mieszkańców. Jest to ośrodek eksploatacji i przeróbki ropy naftowej oraz gazu ziemnego. Istnieje tam też przemysł metalowy, materiałów budowlanych i drzewny.

Pudełko zrobione jest z brzozonej kory, a jego dno i wieko są z brzozonego drewna. Pojedynczy płat kory nawinięto na obłe kawałki drewna, a końce połączono nacinając je w trójkąty i

wpuszczając jedne w drugie. Pudełko jest niemal kwadratowe, o wymiarach siedem na siedem centymetrów, ma prawie trzy centymetry grubości. Kora pociemniała z upływem czasu, jest w kolorze ciemnego ugru. Na ścianie bez trójkątnych cięć jest na pudełku napis: „ZSRR, Komi, ASRR, Uhta, 6.VII. 1940”.

Pudełko znalazłem wciśnięte pomiędzy papierowe torebki z monetami i orderami, w czerwonym kartonowym pudle, które włożone zostało do jeszcze innego pudła z listami, dokumentami i kilkoma albumami pełnymi zdjęć. Wszystkie te pudła z zawartością zostały przesłane z Chicago do Wrocławia kilka lat temu. Należały do zmarłego w 1996 roku Kazimierza Czerwińskiego, szkolnego kolegi mojego ojca Zbigniewa Romana Sawickiego. Na strychu w domu rodziców przeleżały do niedawna, raz tylko przeglądane, zaraz po otrzymaniu przez rodziców przesyłki. Dziś mam wolny dzień, nie tłumaczę, nie piszę, nie rysuję. To pierwszy ciepły dzień od dłuższego czasu. Ciepło jest również na strychu, więc można zaglądać w zakamarki. Skorzystałem więc z pogody, wydobyłem pudła pana Kazimierza ze strychu, otworzyłem je i tym razem dokładnie przejrzałem zawartość. Kilka pakietów listów przeglądałem szczególnie starannie, bo spodziewałem się znaleźć materiał do kolejnego artykułu o Syberii. Nie spodziewałem się jednak, że znajdę coś więcej. Pudełko z Uchty wpadło mi w ręce, gdy przechyliłem czerwone pudło chcąc wysypać jego zawartość na strychowy stół. Ciężkie torebki z monetami i orderami były

ułożone dość ciasno, a pudełko z kory, puste, lekkie, leżało na samym dnie. Było schowane pod „Kalendarzykiem na rok Pański 1943”, wydrukowanym przez ojców Franciszkanów w Jerozolimie dla Domu Polskiego prowadzonego przez siostry Świętej Elżbiety. W kalendarzyku są rozmaite zapiski pana Kazimierza (Kazika, jak nazywa go ojciec). Są też wydrukowane fragmenty „Listu do Matki”, poematu „O Piaście Dantyszku” i innych tekstów Juliusza Słowackiego. Niektóre teksty czytałem jeszcze na strychu, zaraz po odstawieniu pudełka. Wydały mi się komentarzem do losów pudełka i jego właściciela.

Patrz ty na mnie: ot, taki jak jestem, widziałem Boskich na oczach aniołów; ot, taki nędzarz, brudny od popiołów, obmyty krwawym narodowym chrzestem, nie mogąc przeżyć bez pociech do zgonu, poszedłem na górę Syjonu, cokolwiek duszy ulżyć płaczem zdrowym na zakrwawionym Grobie Chrystusowym; za moje martwe syny się pomodlić, a tego przekląć co ważył się spodlić; za tych, co zabił tyran i zabija, zmówić na grobie Ave Maria... na te mogiły, gdzie leżą krwawymi, jerozolimskiej przynieść trochę ziemi i grobowiec ich cichy, nieszczęśliwy, przysypać liściem srebrzystym oliwy, która Chrystusa uroszona łzami wyrosła drzewem litości nad nami („O Piaście Dantyszku”).

Nie wiem jak długo Kazik był w Ziemi Świętej. Domyślałem się, że

zdażył zwiedzić Jerozolimę. W kopercie z monetami palestyńskimi są metalowe krążki z dziurami po środku, (*five, ten, twenty mils*), dwa miedziaki bez dziur (*one, two mils*), jedna moneta o wartości pięćdziesięciu mil i jedna srebrna stu milowa. Dwie najstarsze, dwu i pięćdziesięciomilowe, pochodzą z 1927 roku, najmłodszymi są stumilowe, z 1940 roku. Zapewne wiele innych monet wydał Kazik kupując owoce na bazarach palestyńskich, rzucał je do kościelnych puszek lub dawał na tacę podczas mszy. Jako żołnierz polski w brytyjskiej służbie nie dysponował zbyt wielką gotówką, więc nie często wyjmował banknoty z kieszeni munduru. Monety przechowywał być może w pudełku z Uchty. Wchodząc do Świątyni Grobu Pańskiego mógł powtórzyć za Słowackim: *Patrzaj ty na mnie, ot taki jaki jestem, nędzarz... obmyty krwawym narodowym chrzestem.*

Jedząc soczyste owoce dojrzałe w słońcu Południa zapominał powoli o coraz bardziej odległej Północy. Zapominał? Czy można zapomnieć, choćby bardzo się chciało, okrutną niewolę? Czy można zapomnieć transport nieopalonymi bydlęcymi wagonami w głąb rosyjskiej, nieludzkiej krainy? Czy postój na jednej ze stacji, gdy otwarto ostatni wagon, do którego przenoszono w czasie podróży słabszych jeńców? Stali oni w kilku kręgach, objęci ramionami, martwi. Zamarznięci, scaleni. By uwolnić wagon dla innych więźniów, zamarznęte ciała cięto piłami, a fragmenty zwłok rzucono przy torach. Czy można zapomnieć ukąszenia rosyjskiej zimy, nawet mając usta pełne ożywczego

soku palestyńskiej pomarańczy? Czy można się kiedykolwiek zupełnie wyzwolić z takiej niewoli?

Pudełko z kory przypominało Kazikowi o tym co przeżył i jak przeżył. Chyba nie chciał by wszystkie wspomnienia się zatarły. W Iranie czy Palestynie był wolny, uwolniony z nieludzkiej ziemi, lecz dwaj okupanci wciąż zajmowali jego ojczyznę, którą podzielili między siebie jak jabłko. Jak owoc, który spadł z drzewa w jednym z ogrodów we Lwowie, w jesieni 1939 roku. O lwowskich jabłkach i gruszkach, czereśniach i wiśniach, myślał też zapewne jedząc bliskowschodnie, słodkie owoce. A zwłaszcza o wiśniach z ogrodu moich dziadków przy końcu ulicy Łyczkowskiej, które zjadali z kolegą Zbyszkim, moim ojcem, nim obaj zostali żołnierzami.

Fragment listu Juliusza Słowackiego do matki mógł Kazik powtarzać siedząc nad Jeziorem Genezaret. Powtarzać, jakby to był jego własny list do bliskich we Lwowie.

Przepędziłem całą noc sam jeden w Grobie Chrystusowym, modląc się za Ciebie i naszych. Byłem w Betleem, w Jerycho, w Nazaret, nad Jeziorem Genezaretańskim, gdzie Chrystus mi był przed oczyma... zdawało mi się, że jego spokojna postać stoi zawsze na błękitnie fali, z głową otoczona promieniami. Nad tem jeziorem spałem pod gołym niebem...

jaka to była chwila ile pamiątek oświecał mi ten księżyc nad cichym Genezaretańskim jeziorem, tego opowiedzieć nie mogę... Pomyśl, że byłem w grocie, gdzie pasterzom anioł zwiastował Narodzenie Chrystusa, że byłem przy Grobie Chrystusa i słuchałem Mszy odprawianej na nim za moją Ojczyznę.

W kalendarzu, pod innym krótkim cytatem ze Słowackiego, Kazik zapisał daty ze swej wędrówki ku wolności:

Dwudziestego sierpnia 1942 roku przejazd przez miasto Mrowy, 21 przejazd przez Aszchabad, 22 przyjazd do Krasnowodska, 25 przyjazd do Pahlewi.

Trzynastego maja 1942 roku mógł wysłać do Lwowa, już pod okupacją niemiecką, nie sowiecką, depeszę przez Czerwony Krzyż:

Jestem zdrow, powodzi mi się dobrze, dobrze wyglądam, wszystkich mocno całuję i serdecznie pozdrawiam, kochana Babuniu bądź o mnie spokojna.

A 25 listopada dostał odpowiedź na odwrocie tej samej depeszy,

pisaną ręcznym pismem:

Jesteśmy wszyscy zdrowi, ogromnie się ucieszyliśmy wiadomością, Twoja Babcia tęskni bardzo i mocno Cię całuje jak i my wszyscy, całujemy Cię serdecznie.

Depesza Kazika była pisana na formularzu angielskim, z napisami po angielsku i niemiecku. Wiadomości spisane zostały po polsku. Pod czerwonym prostokątnym krzyżem biegł czarny druk

From War Organisation of the British Red Cross and Order of St. John, Enquirer. Name: Czerwiński. Christian name: Kazimierz. Address: Plut. Podchr. A. P. z Rosji Nr 4002.

Rubryki *Relationship of Enquirer to Addressee* nie wypełniono. Dalej wydrukowano: *The Enquirer desires news of the Addressee and asks that the following message should be transmitted to him.*

I po niemiecku: *Der Fragsteller verlangt Ankunft ueber den Empfaenger, bitte um Weiter beforderung dieser Meldung.*

Poniżej adres: Lemberg, ul. Mączyńskiego 21 m.6, distr. Galizien, General Government. Było też kilka pieczętek: odcenzurowano, examined by censor, oraz Delegat P.C.K. przy Armii Polskiej na Wschodzie. Potwierdzeniem tej depechy była następna wysłana ze Lwowa 25 listopada 1942 roku, a doręczona plutonowemu podchorążemu armii polskiej z Rosji 7 grudnia 1942 roku. I ta depecha oznaczona była pieczętkami. U góry małą fioletową, prostokątną pieczętką: Deutsches Rotes Kreuz, Der Dennfrage beim Geralsouverneur Dienststelle Galizien, Lemberg. Odręczny numer: 4873/1/42. Dalej drobny druk czarny: Antrag durch das Deutsche Rote Kreuz, Praesidium Auslandsdienst Berlin SW61, Bluecherplatz 2, an die „Agence Centrale des Prisonniers de Guerre“.

Niemieckie władze, w przeciwieństwie do angielskich, wymagały by wiadomość zawierała nie więcej niż 25 słów („Hoechtzahl 25 worte“). I była rzeczywiście krótka: *Cieszymy się, że jesteś zdrowy, my wszyscy zdrowi, pozdrawiamy cię i całujemy serdecznie, Babcia i cała rodzina.* Innej korespondencji z roku 1942 nie ma wśród papierów, które odnalazłem w pudle. Za to są listy od znajomych, od osób cywilnych, które tak jak Kazik ocalały po zsyłce na Syberię, ale zanim wróciły do sił by podróżować dalej, zostały skierowane do rozmaitych obozów przejściowych od Iranu po Indie. Jedną z nich była Helena Kurzejowa, nauczycielka, która w listopadzie 1942 roku przebywała w Teheranie. List z datą 20.XI.1942 dotarł do

adresata w styczniu 1943 roku.

Panie Kaziku! Za pamięć serdecznie dziękujemy. Nie odpisałam na list ani Panu ani Panu Michałowi, bo mi okazje uciekały, nie dopilnowałam. Teraz daję przez bliskiego sąsiada bo przyjechał do żony, która właśnie mieszka z nami w szafasie! Miło było czytać listy od swoich znajomych, że nawet poniekąd od swoich bliskich. Panowie bliscy i moi. Zżyliśmy się, to prawda, no ale teraz dzielą nas góry wysokie i dalekie. Mamy jednak nadzieję, że Bóg dobry da nam znów się zobaczyć w swoim kraju, do którego tak wszyscy tęsknimy. Może nadejdzie chwila, o której marzymy, wcześniej aniżeli nam się zdaje. Ja na przykład wołałabym tu przetrwać i stąd jechać prosto do Ojczyzny. Chociaż Afryka też ciekawa, ale droga trochę mogłaby być przykra. W ostatecznym razie wołałabym już węże zaklinać w Indiach, ale wybór, niestety, do mnie nie należy. Jak uznają za słuszne, tak będzie. Na razie nam to nie grozi, ale każdy miesiąc może coś nowego nam przynieść. Jak się Pan czuje w tej pustyni? Bo my to jak w mieście, na przepustkę do Teheranu możemy chodzić ile kto chce.

Miasto na ogół ładne, wszystkiego pod dostatkiem, byle mieć za co kupować. Gdyby tak można było mieć te pieniądze, które mieliśmy w Kilabie, to mielibyśmy tu raj. Można dostać

wszystko to, co u nas było w Polsce. Wokoło nas piękne góry, na których leży śnieg, dlatego i u nas zimno. Noce chłodne, ale zdrowe powietrze, czyste, mroźne. Czujemy się więc dobrze, byle tylko tak dalej było. No, Panie Kaziku, proszę trzymać się zdrowo i cało, wracać do Rodziny, do swoich. Jedźcie pierwsi, a my w ślad za Wami. Tymczasem ściskam serdecznie, Ciocia serdecznie pozdrawia, a jeśli wolno nawet i ściska, od Zosieńki serdeczne uściski i ładny dyg.

Tęsknotę do kraju łączyła Helena z nadzieją, że do Ojczyzny jest prosta droga. Wprawdzie liczyła się z tym, że czasy niepewne, *każdy miesiąc może coś nowego przynieść*, lecz nie wątpiła, że Kazik i jego towarzysze broni już są na drodze do Polski, jadą pierwsi, a cywile podążą wkrótce za nimi. W międzyczasie mogła się jeszcze pojawić na horyzoncie Afryka, ale to nie psuło nikomu dobrego nastroju, cieszyli się więc widokami pięknych gór ozdobionych czapami śniegu. Zimne noce nie były wszak nocami na Syberii, więc mróz nie był tak dotkliwy. A Kazik był już na pustyni, bliżej Morza Śródziemnego, bliżej *kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba* (C.K. Norwid, „Moja piosenka”). Tęskno też było im wszystkim *jeszcze do rzeczy innej, której już nie wiem, gdzie leży mieszkanie, równie niewinnej*, lecz nie musieli bać się, że tęsknoty przyjdzie odłożyć na potem. Odległe potem, które jest *gdzieś na wszystkiej ziemi ziem, jak w niebie, gdzie Polską,*

Rusią, Litwą, Ukrainą, cało-Słowiaństwem wracają do Ciebie jako sztandary, kiedy rozwiną, sny, czucia, pieśni, i myśli, i czyny, do Ciebie, pieśni i czynów przy-czyny (C.K.N., „Bądź wola Twoja”). Na razie mówili sobie z nadzieją na jutro: *bądź wola Twoja, jak jest między nami, którym już wolno i cało-swobodnie*. Na razie Kazik był „już” na pustyni, a Helena „jeszcze” w pięknych górach Persji.

Helena nie dowiedziała się chyba, jak Kazik „czuł się na pustyni”. W następnym liście, którego sama nie opatrzyła datą, ale który adresat otrzymał 14 maja 1943 roku (o czym świadczy jego odręczna notatka u góry pierwszej strony listu) pisze o tym, że od ich wspólnego znajomego, Michała, dowiedziała się o przeniesieniu oddziału, w którym służył Kazik w inne miejsce. List napisała z tego samego obozu pod Teheranem, czyli z „Delegatury MPOS, Obozu Cywilnego nr 1, szalas 15”.

Panie Kaziku! List Pański, za który naprawdę serdecznie dziękujemy, sprawił nam wielką przyjemność. Nie spodziewałam się już od Pana wiadomości gdyż, jak wiedziałam z listu Pana Michała, jest Pan zupełnie gdzie indziej. Ale muszę Pana skarcić. Czemu Pan robi sobie uszczerbek, przecież wiem, że Wy nie macie tego za dużo. Dziękuję bardzo, ale proszę myśleć o sobie więcej. Może Bóg da, że w Polsce jeszcze się spotkamy, to będę mogła się

zrewanżować. Naprawdę tak nieraz myślę o Was, tak się zżyliśmy i tacy jesteście nam bliscy. Gdyby to można było tu Was czym przyjąć, niestety odległość zbyt wielka. A tu inne warunki niż tam były. Można tu dostać czego dusza zapagnie, a tam nie było nic. Szczęśliwi jesteśmy, żeśmy się stamtąd wyrwali. Wspomina Pan o Lidce, Panie Kaziku. Trzeba się z tym pogodzić, że zmieniała ona miejsce pobytu, zmieniała też znajomości i środowisko. Jednak tym nie trzeba się przejmować, to jest życie, Pan jeszcze młody, trzeba być twardym i silnym. Życie wiele uczy, szczególnie dzisiejsze. Panie Kaziku, słyszał Pan pewno o tych, którzy byli w Kozielsku. Proszę sobie wyobrazić, że i mój mąż tam był. Co ja mam o tym myśleć? To jest dopiero los! Ale ja żyję nadzieją, że tak być nie może. Mam nadzieję, że jeszcze się z mężem zobaczymy. Panie Kaziku, gdy Pan napisze do nas, proszę podać adres do swojej Rodziny w kraju, a ja stąd ich powiadomię o Panu przez Polski Czerwony Krzyż. Sądzę, że list jeszcze mnie tu zastanie, bo tak różnie jest z naszą daleką wycieczką. Kto wie kiedy ona będzie. Proszę też pamiętać, że jestem Helena, a nie Jadwiga, bo nie chcieli mi wydać listu. Serdecznie pozdrowienia i uścisk dłoni od Cioci. Proszę pisać. Dziękuję za wszystko, Helena.

Wiadomości do i od rodzin w kraju nie podróżowały łatwo. Jednak rozmaite wieści krążyły po świecie ogarniętym wojną i

niewolą. Rodziny zaczynały się dowiadywać nawet o tych, którzy byli w Kozielsku. Nie opłakiwały ich jeszcze, bo wierzyły, iż tak nie mogło być. Więc modlili się wspólnie, rodzice, dzieci, żony: Ty, pod krzyża stojąca boleścią, z ofiarą w sercu... jakbyś wewnętrznej męki potęgami stanęła wyżej śmierci... Matko Bolesna, módl się za nami. Modlili się, czekali, wzajemnie wspierali i pozdrawiali.

Kazik dostał jednak wkrótce listy od Lidki. W notatniku, pod kolejnym cytatem ze Słowackiego (*Bóg naszych ojców i teraz jest z nami, więc nie dopuści upaść żadnej klęsce, wszak póki był z naszymi ojcami – byli zwycięsca*) napisał: *list z Teheranu otrzymałem 14.V.43, listy z domu 21.V.43, od Wiesi 31.V.43, od Lidki 3.VI, 22.VI i 5.VII. 43*. Pisał do Lidki i Heleny w tym samym dniu, 7 lipca. O jego bezpośrednich kontaktach z krajem świadczy kolejna depesza na blankiecie z niemieckim nadrukiem, instrukcjami i pieczętkami. Treść depeszy została napisana 24 lutego (pieczętka urzędowa jest z 19 marca) 1943 roku.

Kochany Kaziku! Dotychczas dostaliśmy od Ciebie jedną wiadomość, teraz paczkę, którą bardzośmy się ucieszyli i za którą serdecznie dziękujemy. Całujemy Cię serdecznie, razem z Babcią.

List Heleny i depesza od rodziny potwierdzają nie tylko to, że

doszły listy Kazika, ale i przekaz pieniężny i paczka. Ze swego
zołdu, o którym Helena wiedziała, że *nie ma tego zbyt dużo*,
potrafił oszczędzić tyle, że wystarczyło na wspomnienie jednych
i drugich bliskich, zarówno tych we Lwowie, jak i tych w
Teheranie. Żołnierz-tułacz miał swoje ograniczone potrzeby, ale
je ograniczał jeszcze bardziej by pomóc innym, o których
domyślał się, że jest im ciężko. Wprawilo to w zakłopotanie
Helenę, ale wierzyła wtedy jeszcze nie tylko w to, że się zobaczą
po wojnie z mężem, który „był w Kozielsku”, ale i w to, że za
przekaz jaki dostała *zrewanżuje się w Polsce, kiedy się jeszcze
spotkamy*. Wprawdzie wiedziała, że *życie uczy wiele, szczególnie
dzisiejsze*, ale dodawała od razu, że *trzeba mieć nadzieję*. Contra
spem spero. *Bóg naszych ojców i teraz jest z nami*.

Czternastego lipca 1943 roku Kazik dostał zawiadomienie o
kursie strzelania artyleryjskiego dla młodszych oficerów grupy
artylerii. Kurs odbył się w lipcu i w sierpniu, jak zanotował w
swoim wojennym kalendarzu. Kolejny zachowany list Heleny
(listy od Lidki się nie zachowały) nosi datę 29.VII.1943. Pożółkła
koperta w miejscu znaczka ma okrągłą pieczętkę z napisem
„Poczta Polska 130”, a obok data 31.VII.1943. Adres: ppor
Kazimierz Czerwiński, Polish Forces, Persia and Iraq Force, No
571. Adres i cały list napisane są niebieskim atramentem
(poprzednie czarnym). Kazimierz zanotował na marginesie listu,
że przesyłka dotarła do niego 9.VIII.1943 roku. Tę datę ma też
mniejsza pieczętka na odwrocie koperty „Poczta Polowa 118”.

Na dole koperty jest również notatka ołówkiem „written in Polish”.

Panie Kaziku! Najpierw pozwoli Pan, że mu złożę gratulacje z powodu awansu, który Panu chyba już dawno należał. Następnie chcę tylko tyle na usprawiedliwienie swoje napisać, że list z odpowiedzią na ostatni Pański list wysłałam i jestem mocno zdziwiona, że go Pan nie otrzymał. Z zasady odpisuję zawsze wszystkim, a tym bardziej nie miałabym powodu nie odpisywać Panu. Chciałabym jak najdłużej utrzymać łączność z Wami, kochani. Jak się Pan czuje? Czy wszystko złe minęło? U nas różnie, teraz zamiast trochę odpocząć po pracy bo mamy wakacje, to jestem na izbie chorych na malarię i Nusiek też. Ciężko nieraz, ale cóż robić – trzeba przetrwać. Panie Kazimierzu Kochany, wysłałam list przez PCK do Pańskiej Rodziny, ale ostatnio podano oficjalnie do wiadomości, żeby do kraju listów nie wysyłać, tak pewno i list ten nie dojdzie. Czy Wam bardzo ciepło dokucza? Nam też, ale musimy wytrwać. Wy pierwsi, a my za Wami wracamy do Ojczyzny.

Tak więc Kazik, już po kursie i awansie, mógł wędrować dalej przez Bliski Wschód, z nadzieją, że swoją umiejętność strzelania z armat wreszcie wykorzysta i utoruje drogę do Polski. Utoruje ją tym wszystkim, którzy w międzyczasie leczyli się w szpitalach

polowych, dochodzili do zdrowia by podolać trudom pobytu w innym klimacie i trudom wojennej podróży z wieloma przerwami, z długim oczekiwaniem. Oni, mężczyźni z oddziałów frontowych, „szli pierwsi”, a za nimi podążać miały ocalałe z łagrów kobiety i dzieci. I jemu i wszystkim innym dokuczały wprawdzie upały, lecz ożywiała ich nadzieja na to, że fronty się zmieniają, że coraz bliżej tułaczom do ojczyzny. Nie pozwalali, by im brakowało wiary. Może za dużo jej mieli, może nie powinni wierzyć bez zastrzeżeń, na przykład polowej poczcie, ale tak bardzo potrzebowali wiary, że nawet i poczcie wierzyli, chociaż powinni chyba uwzględnić zagrożenie iż jakiś list przepadnie, nie dojdzie. Nie potrafili więc uchronić się przed rozczarowaniem z powodu braku odpowiedzi, w listach pobrzmiwała nuta zdziwienia, a nawet pretensji. Cóż, jeszcze wiara ich miała wielką siłę, a zwątpienia w sens wędrowania i w sens wojowania do siebie nie dopuszczali. Na razie drobne to były rozczarowania, a samo wyjście z niewoli napawało optymizmem. Nawet na łóżku szpitalnym, w malarycznej gorączce, mówili wciąż sobie: musimy przetrwać, bo jesteśmy na drodze do ojczyzny. Ten „wielki zbiorowy obowiązek” przetrwania był przecież zbiorem niewielkich, czasem bardzo dziecinnych obowiązków. Takich, jak uczenie się w szkole, sprzątanie, przygotowywanie posiłków, przyjmowanie lekarstw, czy modlitwa. Aby przetrwać, nie ulec. Nie poddać się choćby lenistwu, czy chorobie. Bo to też wrogowie, tacy jak ci na froncie. Jak i ci, którzy zabijali głodem i katorżniczą pracą. Nikomu i niczemu nie wolno więc było ulec.

Zwłaszcza własnym słabościom. Skarżyć się można było tylko na upał, na klimat, nie na skromne wyżywienie, życie w szałasach. By przetrwać, dotrwać.

List z 24.VII doszedł do Kazimierza 2.IX. Obok okrągłej pieczęci poczty polowej jest też okrągła fioletowym tuszem, cenzora 103 oraz notatka „on active service”. Helena dziękuje z kolejną przesyłką, ale tym razem już nie „karci”. Ma tylko wyrzuty sumienia, jest wdzięczna. I pisze: *My tu już po malariach, zdrowi, ale jak długo nie wiadomo.* Mówi też o wakacjach, że się kończą, ale gdzie zacznie się nowy rok szkolny, w jakim obozie uchodźców znajdzie się ich grupa, jeszcze nie wiedzą. *Wygląda na to, że Afryka aktualna, więc prawdopodobnie wybierzemy się na dalsze zwiedzanie świata.* Jednak to nie narzekanie na zmiany pobytu, bo *jak dotąd, te wycieczki nam się dość udają, tak nam przynajmniej piszą ci, co są już w drodze.*

Oni, ci słabsi, też pojadą jak tylko nabiorą sił po chorobach. A dzieci nawet cieszą się perspektywą zwiedzania świata. *My może napiszemy z Ahwazu. Nusiek najwięcej zadowolony z wędrowania. Jeszcze raz dziękuję, życzę zdrowia i powodzenia. Serdeczne uściski od Cioci i dzieci.* I rzeczywiście, kolejny list z datą 10.X.1943 jest już z Ahwazu (Obóz Przejściowy, Blok 3, Obóz B).

Znów jesteśmy w innym miejscu. Wybraliśmy się w dalszą podróż, ale niedaleko zajechaliśmy. Na razie siedzimy w Ahwazie, kiedy dalej wyjedziemy, nie wiemy. Ciekawam czy ten list podąży za Panem, bo przypuszczam, że jak inni tak i Pan, zmienił już swoje miejsce pobytu. Jak z malarią, bo ta naprawdę potrafi zniszczyć człowieka? Janusz, ten stary malaryk, już leży w szpitalu, nim zmienił powietrze. Zmiana niewiele mu pomogła. Może się wyleczymy, ale w naszym klimacie. Kiedy wreszcie nastąpi ten dzień szczęśliwy, że będziemy mogli wybrać się w drogę do Polski? Niech Pan wierzy, Panie Kaziku, że często jest tak, że nerwy nie wytrzymują, tylko jedyna nadzieja, że kiedyś może będzie inaczej trzyma przy życiu. Życie jest nieraz straszne! A może to tylko ludzie są tacy – nie wiem – wszystko jedno – dobrze byłoby już wrócić do swego, do swoich i żyć życiem trochę naturalnym. No ale dość, to taki mój nastrój dzisiejszy.

W Karachi poprawił się nastrój Helenie. Wierzyła, że to przedostatnia przystań w ich podróży do „miejsca przetrwania”. Dwudziestego czwartego lutego podała Kazikowi taki adres: Country Club, Polish Refugee Camp.

Panie Kaziku! Już długo nie pisałam do Pana, gdyż miałyśmy zmieniać miejsce pobytu. Jesteśmy teraz gdzie indziej.

Ostatni list od Pana otrzymałam jeszcze w Awhazie. To przedostatnia przystań naszej podróży. Stąd już będzie niedaleko do miejsca, w którym mamy przetrwać wojnę. Nie wiem też czy i ten list Pana zastanie, ale piszę na wszelki wypadek. Jeśli Pan go otrzyma, proszę pisać do nas na podany adres. Jeśli my zmienimy miejsce, też napiszemy. Ciekawam jak się Pan czuje? Nam jest tu bardzo dobrze. Na razie na nic nie możemy narzekać, chyba tylko na to, że nam trochę pada z góry, ale to przechodzi i znowu pogoda. Wyżywienie świetne, a owoców tu moc, takich jak banany, pomarańcze itp., więc nasza dzieciarnia nic już nie potrzebuje. Jeśli chodzi o materiały na ubrania, to można dostać do wyboru i koloru i w dość niskiej cenie. Gdyby nam tak było do końca wojny, to nie trzeba nam nic więcej. Ja jak zwykle pracuję no i parę rupii zawsze jest. Dzieciarnia się uczy i zdrowo bryka. Zosia już w drugiej klasie, a Janusz w szóstej powszechnej. Wiele serdeczności...

Przez kilka miesięcy wiosennych nie było odpowiedzi od Kazika na ten list, chociaż Helena wciąż była z dziećmi w Karachi. Jedenastego sierpnia skarży się na milczenie Kazika.

Dziwię się bardzo, co się właściwie stało, że Pan tak milczy. Pisałam już stąd równocześnie do Pana Michała i od Niego otrzymałam odpowiedź, a od Pana nie. Niepokoi mię to

trochę. Może zwyczajnie list nie doszedł, ten może Pan otrzyma, jeśli tak, to proszę zaraz odpisać. Jak się Pan, Panie Kaziku, czuje? My starym zwyczajem. Pracujemy, dzień schodzi nam szybko, miesiące mijają, tylko jedno co gorsze, to, że nie możemy doczekać wyjazdu do domu. Tak za tym już tęsknimy. Starczyłoby już nam tej tułaczki. Chce się już być ze swoimi blisko, a tak nic nie wiemy o nich, tak jak oni o nas nic nie wiedzą. Wprawdzie Indie mają wiele uroku, ale dziś na to patrzymy innymi oczyma. Na razie siedzimy w Karachi, może za jakiś czas zmienimy miejsce pobytu, ale w każdym razie w Indiach zostaniemy, więc prosimy pisać. Dzieciaki rosną, Janusz już duży chłopiec, a Zosię też nie wiem czy by Pan poznał.

Następny list (5.X.1944) jest już z „ostatniego etapu tułaczki”, z Valivade (Polish Refugee Camp, Kolhapur, Valivade, India, blok 159 I). Do listu dołączone jest małe zdjęcie Heleny z ciotką i dwójką dzieci, Zosią i Januszem. Janusz wciąż jeszcze jest wychudzony, może trochę z tego powodu, że sporo urósł, jest prawie tego samego wzrostu co matka i ciotka. Cała czwórka sfotografowana została na tle niewysokiej palmy i budynku z mocnymi kolumnami wspierającymi dach rzucający głęboki cień na prawie całą południową ścianę. Jednak nie jest to zdjęcie z Indii, ale z Awhazu, o czym informuje napis na odwrocie: *Persja, Ahwaz, 22.X. 1943, Panu Kazikowi dla wspomnienia, Hela z*

rodziną.

Jednak 5. X. 1944 roku może napisać z Valivade coś innego.

Ucieszyłam się szczerze Pańskim listem, gdyż wiele myśli nieraz ogarnia człowieka, bo wiem gdzie teraz jesteście i co robicie.

Helena wie o desancie morskim pod Anzio (15 - 18 lutego i 15 - 25 marca 1944), o bitwie pod Monte Casino. Drugi Korpus

Polski, w którym służył Kazik, staczał ciężkie bitwy, ponosił duże straty, było się o co niepokoić. Od losów tych polskich oddziałów

zależał w dużym stopniu los wszystkich polskich uchodźców z

Syberii. Życie, które polscy żołnierze narażali i oddawali na

Półwyspie Apenińskim, poświęcali i dla nich, polskich kobiet i

dzieci rozsianych po świecie. Z tego wszyscy zdawali sobie

sprawę. W kalendarzyku Kazika z 1943 roku jest i modlitwa o

Zwycięstwo Chocimskie:

Bądź pozdrowiona, Panno, Matko Boga, Ciebie wzywamy,

wspomóż zwalczyć wroga, ocal nam Polskę w tym srogim

frasunku, niechaj znów dozna Twojego ratunku, przyczyn się

Panno, niech z Twojej obrony zbawienie będzie dla Polskiej

Korony.

A fundator ojców Marianów, Stanisław a Jesu Maria Papczyński,

dodał taki komentarz:

Gaście pożary czyścicowe, bo oto tam, w płomiennej otchłani
goreją ojcowie i matki nasze, bracia i siostry, przyjaciele
wasi, obrońcy ukochanej Ojczyzny.

Zależnym o losy żołnierzy tłumaczył też Słowacki:

Bo kto zaufał Chrystusowi Panu i szedł na święte kraju
werbowanie, ten de profundis z ciemnego kurhanu na trąby
stanie.

O tych, którzy walczyli i którzy polegli za sprawę Ojczyzny
mówił:

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy i spać pójdziemy o
wieczornej zorzy, ale w grobowcach my jeszcze żołdacy i
hufiec Boży.

Podobne modlitwy i podobne myśli mieli wszyscy rodacy.

Dobrze, że Pan napisał, przynajmniej ucieszyłam się i
zaspokołam co do Pana. Panie Kaziku, niech Pan źle nie

myśli o prawdziwych przyjaciółach. Nikogo poza Panem i Panem Michałem nie mamy w wojsku, los Wasz jest nam tak drogi, jak chyba dla Was samych. Czytamy w gazetach, słuchamy radia – wiemy ile dajecie z siebie. Wy nam torujecie drogę, czyż Was nie kochać za to, czyż nie zasługujecie od nas przynajmniej na pamięć, bo cóż innego Wam dać możemy – modlitwy i pamięć. Panie Kaziku, jedna prośba, jeśli Pan czasu nie ma, niech Pan nie pisze, ale jeśli znajdzie Pan wolną chwilę, choć parę słów o sobie proszę przesłać, proszę dać znać, że Pan żyje i jest zdrow, bo to dziś najważniejsze. Przepraszam z góry za niedyskrecję, ale jak tam z sercowymi sprawami – myślę, że te powinny być w najlepszym porządku, przecież do Was młodych świat należy! A teraz coś o sobie. Otóż, jak z adresu Pan się zorientuje, jesteśmy znów gdzie indziej. Jest to już ostatni etap naszej tułaczki. Tu mamy przetrwać czas aż do powrotu do Polski. Nie jest to już obóz. Jest to osiedle, powiedzmy małe miasteczko. Nie odczuwamy tu wojny wcale. Mamy wszystko, jeśli chodzi o żywność i ubranie. Osiedle pięknie położone w górach, mniej więcej na wysokości naszego Zakopanego. Klimat nawet możliwy, jak na Indie.

Mieszkania mamy rodzinami. Każdy dla siebie, nie tak jak w szałasach. Ja na swoją rodzinę mam dwa pokoiki i kuchenkę. No i skromne, ale niezbędne umeblowanie. Kuchnię prowadzi Ciocia, gotuje i pitrasi. Na wyżywienie

otrzymujemy gotówkę i za to wszystko kupujemy, o wiele lepsze to życie niżli życie wspólne z kotła, tak jak było w obozach. Ludzie, którzy tu dawniej przebyli, czują się doskonale i świetnie wyglądają. I my mamy nadzieję, że się też poprawimy, jak tu dłużej pobędziemy. Ja na razie nie pracuję, zaczniemy po przerwie, która tu będzie przez październik, gdyż w tym miesiącu mają być jeszcze upały. Mamy też na miejscu kościół, świetlicę, salę teatralną, kino, no i kto co chce. Do miasteczka Kolhapur jest blisko i można jeździć, tylko muszę Panu dodać, że wszyscy leżymy na malarię, ale co najgorsze minęło, a potem będzie dobrze, tym proszę się nie przejmujemy wiele. Przepraszam, że tak się rozpisałam, ale chcę się z Panem podzielić wiadomościami, by Pan wiedział, że jest nam dobrze. Mocny i przyjacielski uścisk dłoni. Przesyłam zdjęcie amatorskie, ale jeszcze z Ahwazu, może sobie Pan nas przypomni.

List był napisany na gładkim, niebieskim papierze w linie. Koperta też była porządniejsza niż do tej pory, w kolorze różowym, z nadrukowanym fioletowym znaczkiem o wartości 8-as, z podobizną Króla Jerzego I i napisem: India Postage. Nadruk niebieskim tuszem: „For correspondence to H. M. Forces only; weight not to exceed half an ounce (do korespondencji wojsk J.M., waga poniżej pół uncji); Rank: p.por; Name: Czerwiński Kazimierz; Company, section, etc: C.M.F. Unit or appointment:

Polish Forces No. 571, c/o base air post depot, Karachi (stopień, kompania, oddział, itd... oddział lub przeznaczenie: Polskie Oddziały nr 571, przez pocztę lotniczą bazy w Karaczi). Znaczek był ostemplowany, z datą 6 października 1944 roku. Obok okrągłą pieczęć i nadruk: by air mail, par avion. U dołu koperty odręczna notatka: written in Polish (napisano po polsku). Na odwrocie jeszcze dwie okrągłe pieczętki: Base Office i druga nieczytelna oraz biała nalepka: Opened by Examiner (otwarte przez inspektora).

Nadeszła zima. Sytuacja na frontach Drugiej Wojny Światowej stawała się coraz pomyślniejsza dla Aliantów. W listopadzie Helena składa Kazikowi życzenia świąteczne, życzy „spełnienia marzeń”. Do listu z 17.XI. doszyte zostało biało-niebieskie serduszko wypełnione opłatkami. Opłatek jest dziś pokruszony, jego cząstki szeleszczą pod palcami, ale materiał nie zmienił koloru, jest nadal mocny, tak samo jak nitka oplatająca serce. Dwa kawałki jasnego materiału wycięła Zosia w kształt serca i zszyła je niebieskimi nitką, grubą nitką.

Łamiąc się opłatkami w gronie najbliższych, myślami jesteśmy z Wami. Łamiemy się opłatkami i życzymy sobie wspólnie by nasze marzenia zostały zrealizowane jak najprędzej. Życzymy w pierwszym rzędzie zdrowia i szczęśliwego powrotu do Ojczyzny, do najbliższych. Oby od

tego Nowego Roku wszystko zmieniło się na nowe i dobre!
Co u Pana słyhać, bo u nas po dawnemu. Żyjemy nadzieją,
że się wszystko wnet zmieni i będzie dobrze. Wiele
serdecznych pozdrowień śle Hela z Ciocią i dziećmi.

Wierzyli, że armia Polska podąży „z ziemi Włoskiej do Polski”.

Podczas i po bitwach na Półwyspie Apenińskim nie tylko Helena z Valivade martwiła się o los podporucznika Czerwińskiego. Martwiła się też rodzina we Lwowie. Aby zapobiec dalszym zmartwieniom, Kazik wysłał 13 lutego i 21 marca dwie depesze przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Podał taki adres: ulica (rue, street, via) Sh. El Aziz Osman, miejsce, locality, localita) Cairo - Zamalek, kraj (pays, country, paese) Egypt. Wiadomość zawierać miała nie więcej niż dwadzieścia pięć słów.

Jestem zdrów, dziękuję za pozdrowienia i ucałowania. Mam dużo szczęścia i wiele powodzenia. Serdecznie wszystkich pozdrawiam i mocno całuję.

Depesza wędrowała do Lwowa przez Genewę i Berlin. Obok cenzora egipskiego, swoje pieczętki odbili urzędnicy Czerwonego Krzyża w Kairze, Genewie i Berlinie. Kazik otrzymał odpowiedź dopisaną na obydwie depesze.

Kochany Kaziuniu! Jesteśmy wszyscy zdrowi. Tobie życzymy dużo szczęścia i zdrowia. Dałby Bóg żebyśmy się wszyscy zobaczyli. Całujemy Cię serdecznie i mocno, najwięcej Babcia (odpisano we Lwowie 17 czerwca i 3 lipca 1944 roku).

Korespondencja do okupowanej Polski docierała z większymi trudnościami niż z Valivade do miejsc postoju Drugiego Korpusu. Aby się upewnić, że Kazik otrzymuje wiadomości ze Lwowa, oprócz odpowiedzi na odwrocie depeesz Kazika, rodzina wysłała własną depeeszę 13 lipca 1944 roku, z tą samą treścią. Szła ona też długo przez ręce urzędników, ostatni z nich użył swojej pieczęci z czerwonym tuszem 12 września. W listopadzie poczta polowa na Bliskim Wschodzie przeadresowała kopertę na Wyspy Brytyjskie. Polski urzędnik wojskowy dopisał na kopercie: „użył do Anglii”. W międzyczasie Delegatura Polskiego Czerwonego Krzyża starała się pomóc swoimi sposobami. Pod koniec lipca wysłano z Kairu na adres „Polish Forces CMF 570” wiadomość o poszukiwaniu podporucznika Kazimierza Czerwińskiego przez rodzinę.

Otrzymaliśmy list dla Pana Kazimierza Czerwińskiego od Antoniny Seidel, Lwów, Mączyńskiego 21. „Dowiadujemy się o Twoim zdrowiu i powiedzeniu. Bardzo się tem martwię, że

nie dajesz o sobie znać. My jesteśmy wszyscy zdrowi. Pa, Kaziuniu, Babcia". Prosimy o zawiadomienie czy list ten dotyczy Pana celem ewentualnego przesłania go na Pana adres.

Przez następnych kilka miesięcy Kazik nie odpisywał na list świąteczny Heleny lub listy nie docierały do Indii. Helena znów się martwi. W liście z 21 kwietnia 1945 roku pisze o tym, powołując się na korespondencję z Panem Michałem, od którego dostała odpowiedź.

Panie Kaziku! Nie wiem sama co mam myśleć o tym. Ostatni list pisałam do Pana po przyjeździe na nowe miejsce pobytu, w którym mieliśmy przetrwać do końca wojny. Od wysłania listu do Pana upływa już kilka miesięcy, bo wysłałam go stąd w październiku ubiegłego roku. Pisałam w tym czasie do Pana Michała, od którego otrzymałam już odpowiedź. Ale co się stało z Panem? Tego nie mogę sobie wytłumaczyć. Niech Pan zechce zrozumieć, że myślimy o Was, jak o kimś bliskim, bo nic nas nie wiązało, a jednak byliście nam tak bliscy. Dziś los Pański obchodzi nas jakby Pan był z naszej bliskiej rodziny. A wiemy i zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, w jakich Pan teraz żyje warunkach i na co jest narażony. Janusz często mi przypomina, żeby napisać jeszcze raz do Pana, boi się czy aby się coś złego nie stało. Ale bądźmy szczerzy,

Panie Kaziku. Jeśli może Pan sobie nie życzy utrzymywać dalszej korespondencji z nami, to nie będzie mnie to wcale dziwiło, jeśli Pan otwarcie do tego się przyzna, a my tutaj będziemy przynajmniej spokojni o Pański los.

Może wprost Pan nie ma czasu na pisanie listów. Cokolwiek będzie powodem Pańskiego milczenia, na wszystko się zgodzę, byle tylko było szczere. Przepraszam za tę natarczywość z naszej strony, ale niech wiem przynajmniej co się z Panem dzieje. Zasyłam wiele serdeczności.

W sierpniu nadszedł jednak do Valivade długo oczekiwany list od Kazika. Na ten i kolejny, z lutego, odpowiada Helena 25 lutego 1946 roku.

Za list z sierpnia i ostatni z 28 lutego bardzo dziękuję. Dlaczego na poprzedni list nie odpisałam, bo, Panie Kaziku, nie chciałam się już narzucać swoją korespondencją. Jakiś czas była ona przerwana między nami, ale jeśli Pan sobie życzy, możemy nadal pamiętać o sobie. Naprawdę gdy szły boje, niepokoiłiśmy się często o Was, o Pana i o Pana Michała. Z Panem Michałem utrzymujemy nadal korespondencję. Czy Panowie piszą do siebie? Przy okazji podaję Panu jego numer, może Pan nie ma adresu? M.S. Polish Forces, 309. Panie Kaziku, czasy teraz okropne. My

też czekamy na coś, co może zmieni sytuację na świecie, a tym samym dla nas. Bo przecież nie można się z tym pogodzić, żeby tak miało pozostać! To już przecież nie idzie tylko o nas Polaków, ale cała Europa jak wygląda? Tak być nie może! U nas teraz mówi się o zmianach. Ma nas wziąć w swoją opiekę U.N.R. Jak to będzie wyglądać, tego dziś nie wiem, ale mamy dostawać tylko na utrzymanie, a za pracę już nie ma być żadnych wynagrodzeń. Jedno tylko co nas wszystkich przeraża, to, żeby U.N.Ra nie wywiozła nas tam, gdzie nie chcemy jechać. Bo mają nas stąd rozesłać, ale gdzie, dotąd nie wiadomo. Byle tylko nie do Polski, do takiej jaka teraz jest.

Co do Armii, to raz słyszymy o demobilizacji, to znowu co innego, tak, że nie wiadomo w końcu co z naszym wojskiem będzie. A ono jest naszą jedyną nadzieją, bo dopóki jest nasza armia, to zdaje się, że i my jeszcze mamy jakieś znaczenie w świecie. A jeśli miałyby nastąpić demobilizacja, to co byłoby wtenczas z nami? Ale jakoś miejmy nadzieję, że wszystko obróci się na dobre! Jak Pan się czuje, Panie Kaziku? Jak Pan ze zdrowiem, bo to najważniejsze.

Przypuszczam, że w Szkocji chyba klimat odpowiedni? Ale co Pan pisze o rodzinie W. Wilczkiewicza, to chyba zwyczajna plotka, bo dowiedziałam się, że jest on z rodziną w Afryce. Gdy wyjeżdżałam z Teheranu z pierwszego obozu, on jeszcze tam został. Podaje Panu jego adres: Polish Red Cross, P.O.

Box 1882, Nairobi. Oni są w Makindu. Proszę napisać do Nairobi, a zaznaczyć, że są w Makindu. Nie wiem czy poznałby Pan teraz Zosię. Janusz już mnie przerósł, a ona dopędza. Lata idą, dzieci rosną, a człek się starzeje. Serdecznie pozdrawiam.

Radosne westchnienia z poprzednich listów „oby do Ojczyzny” zmieniły się na bolesne westchnienie „byle tylko nie do takiej Polski jak teraz”. Zdrada sprzymierzeńców, bezwzględność nowego najeźdźcy, którego oni, Sybiracy, już przecież dobrze znali, musiały powodować wielki ból. Z bólem powtarzać mogli tylko za Norwidem jego „Pieśń do ziemi naszej”. Do ziemi, gdzie znów świeci szubienica. I gdzie jest mój środek, moja stolica... trąd jad i brud. To od Wschodu: mądrość-kłamstwa i ciemnota, karnośći harap lub samotrzask z złota. A na Zachód? Kłamstwo-wiedzy i błyskotność, formalizm prawdy – wewnętrzna bez-istotność, a pycha pych! Czy więc mam czekać cię, Zachodzie – ty...!, ja głupi Słowianin? Tobie, Wschodzie znaczę dzień widzenia, gdy już nie będzie sumienia w ogromni twej. Południe! Klaszczesz mi, pomagasz cieszyć się, więc klaszczę tobie, twemu ciepłu i pięknu. Przyklaskujmy, póki możemy. A ciebie minę, o głucha Północy, i wstanę sam. Braterstwo ludom dam, gdy lzy osuszę, bo wiem, co własność ma – co ścierpieć muszę; bo już cię znam. Już was znam, Rosjanie i Niemcy! A zwłaszcza Rosjanie: biorący dziejów ludzkich poważną księgę jak tabuna grzywę...

Wy, to duża kolonia holenderska, której się Oryginalność śni, z dołu w meszty ubrana z Perska, Niemców mózg, pot – Słowian, misja – krwi... ależ Wy?! Nie Ruś wy – wy – Germany! Tak pisał Norwid „Do publicystów Moskwy”. Ból Norwida, gdy pisał te strofy, pomieszał się z bólem wielu tysięcy Polaków, którzy je czytali i wciąż na nowo odczytują. Tych, którzy poznali Syberię z książek i tych, którzy sami jej doświadczyli. „Pisałem oktobra 1868 roku w Paryżu”, odnotował Norwid pod swym wierszem do moskiewskich publicystów. Helena i Kazik mogli powtórzyć te same słowa pisząc do siebie w 1946 roku.

W bardzo zniszczonej, pozbawionej znaczka kopercie znajduje się list Heleny z 8 maja 1946 roku zaadresowany do porucznika Kazimierza Czerwińskiego, P. O. Box 260/15 (skreślono 15, dopisano 95), G.P.O. London EC 1.

List polecony z 21 maja otrzymałam, bardzo Panu dziękuję. Widzę, że Pan się przejmuje moimi listami i chce Pan nam przyjść z pomocą. Ale niech Pan mi wierzy, że nieraz człowiek nie chciałby pisać tego wszystkiego co w tej chwili czuje, by nie zatruwać drugim też nieraz niewesołego, bo na obcej ziemi, życia. Ale cóż robić, nieraz taki nastrój ogarnie człowieka, a jak się przed kimś wywnętrzy, to zdaje mu się, że lżej się robi na sercu. Ale proszę tym się nie zajmować i sobie uszczerbku nie robić, bo jak wygląda życie teraz

choćby w takiej Szkocji czy Anglii, to sobie można łatwo wyobrazić. Teraz na pewno spodziewacie się jeszcze więcej gości, bo jak głoszą, wojsko z Włoch ma być przerzucone do Anglii. Wyobrażam sobie jak to będzie tam dobrze. A co dalej - tego na razie nie wiadomo. Co z nami cywilami będzie to Bóg jeden raczy wiedzieć. Może pojedziecie (to znaczy wojsko) do Ameryki, a my... ale co się tu martwić, kiedy nic z tego nie wyjdzie.

Panie Kaziku, ucieszyliśmy się bardzo Pańskim zdjęciem, muszę dodać, że wygląda Pan bardzo poważnie, ale wcale nie źle. Nie mam na myśli „powagi” z racji wieku, bo tak źle na pewno nie jest. Zośka nie może sobie Pana przypomnieć, przecież to było jeszcze małe dziecko, a dziś ona już ma pretensje do „panny” choć jeszcze nie skończyła 10 lat. Acha, p. Lidka wyszła za mąż, jest we Włoszech.

Przypuszczam, że to Pana dziś nie bardzo wzrusza, bo chyba wiele się zmieniło, ale, przepraszam za żart, niech Pan Szkotki nie uszczęśliwia, bo one nie warte tego, a naszych panienek tyle czeka na koniec wojny. Za ten żart nie wolno się obrażać na mnie. Od Zośki i Cioci ucałowania, od dużego Janusza cześć.

Na zdjęciu z wojskowej legitymacji Kazik wygląda rzeczywiście „poważnie”. Na twarzy nie ma śladu uśmiechu. Może przejścia

wojenne ostatnich miesięcy, może trochę też rozczarowania osobiste, może inne jeszcze powody wpłynęły na to, że patrzy teraz wzrokiem surowym, silnym. Nie wiem czego mógł dotyczyć dopisek Heleny z kolejnego listu: *jak widzę, niezbyt dobrze się Pan czuje*. Kiedy przez trzy lata przemieszkiwałem z nim pod jednym dachem w Chicago pod koniec lat siedemdziesiątych, nie skarżył się na żadną chroniczną dolegliwość wyniesioną z wojska. Nie wykluczone jednak, że coś umknęło mojej uwagi. Na fotografii zrobionej na ulicy jakiegoś dużego brytyjskiego miasta uśmiecha się wprawdzie, ale nie jest to uśmiech tak radosny jak idącego obok szkolnego kolegi ze Lwowa, Zbyszka Nowotnego.

Za list i przesłane w nim życzenia serdecznie dziękuję, napisała Helena 14.V.1946 roku.

Jak widzę z listu, niezbyt dobrze się Pan czuje. Nie wiem tylko dlaczego Pan się dostał do Szkocji? Bo jak się orientuję, to tylko jechali tam z Włoch Ci, którzy byli ranni, ale może się mylę. Panie Kaziku, co dalej będzie z nami, Polakami? Naprawdę sytuacja w tej chwili jest beznadziejna. Jeśli jakaś wojenka nowa nie wykroi się to będzie wszystko na nic. Choć z drugiej strony, gdy pomyślimy o tym ostatecznym naszym wyjściu, tj. o walce zbrojnej, to aż żal, że ta garstka żołnierzy, która pozostała przy życiu miałaby jeszcze złożyć wielką ofiarę, ale zdaje się, że to ostateczność, która może

nam dać wolność i kraj. Naprawdę już tak tęskno do Ojczyzny, ta tułaczka już się uprzykrzyła i co gorsza nie widać wcale jakiegoś dobrego końca. Ten klimat, warunki życia zdaje się coraz to gorsze, już człowiekowi nerwy odmawiają posłuszeństwa.

Dziś zdaje się biegłby człowiek do Polski, ale cóż, do tej teraz nam nie wolno, bo jesteśmy wojsko, emigracja. Czy to nie ironia losu? U nas od czerwca będą duże zmiany. Obejmują nas U.N.Ra. Przeważnie dotyczą te zmiany pracujących. Teraz tutaj dzielimy się na pracujących i niepracujących, ci ostatni nic nie tracą, zasilek żywnościowy pozostanie ten sam. Natomiast nam, pracującym, odliczają za pracę, głupstwo – parę rupii na wydatki, ale jakie? Zresztą są ludzie, którzy gorzej mają, jak ci w Polsce, czy pozostali w Rosji. Tak trzeba myśleć, a będzie łatwiej przeżyć. Najważniejsze, że z głodu na pewno nie umrzemy, o resztę nie ma się czego martwić. Czy wiecie już może co Anglicy mają zamiar zrobić z Polakami? Widocznie jest to dość trudny orzech do zgryzienia. Nie tak widocznie łatwo puścić ludzi na pastwę losu, a może jeszcze liczą na to, że wojsko nasze przyda się na coś. Zdaje się, że Anglicy i Amerykanie nie wierzą w pokój, póki Stalin dyktuje warunki. Może doczekamy tej chwili gdy oni znikną z powierzchni świata – byle tylko jak najszybciej to nastąpiło. Ale trzeba, Panie Kaziku, być dobrej myśli i wszystko będzie dobrze. Ma Pan

może jakieś wiadomości z Polski o rodzinie? Życzę serdecznie przetrwania, od dzieciaków i Cioci uściski.

A więc zostały tylko życzenia przetrwania. Nie powrotu do ojczyzny, nie radości z ujżenia bliskich. *Jeśli mi Polska ma być archaiczną lub socjalizmu rozwinąć pytanie, to już ja wolę tę panslawistyczną, co pod Moskałem na wieki zostanie*, drwił Norwid w 1850 roku. Zapewne nie sądził, że i tę drwinę „rozwiną” zarówno obcy jak i rodacy. Jak i nie sądził, zwracając się „Do Moskali-Słowian” w wierszu przypisanym „braciom Warszawianom w upominku”, że mówi jak *mąż szczery: grzech, póki nie wyjawion - mocny*. Mówi nie tylko o Katyniu, ale i Warszawie. Nie tylko o stolicy pełnej więzionych i torturowanych, ale i pełnej gruzów, po nieudanym, a sprowokowanym, jakby na okrutną drwinę, powstaniu warszawskim.

Moskale bracia! Co w was jest szatanem, tegośmy na chrzcie polskim się wyrzekli, tego już wasza moc w nas nie rozwściekli; dał Bóg, że widmem to i odpoznanem; dał Bóg, i po to w świat my się rozwlekli... ale co pychą jego, to was trzyma, jak zabitego kolano olbrzyma, w miedź rudą zbroi zakowane trwalej; jak wielki odłam w drzewi zwałonej skały trzęsieniem ziemi o dobie północnej; jak grzech, co póki nie wyjawion - mocny!

List z maja, to ostatni list z Valivade, jaki odnalazłem wśród rzeczy Kazika. Inne są z Polski, z późniejszych lat i nie dotyczą losów zesłańców syberyjskich. Kazik został zdemobilizowany w 1947 roku. Z listopada 1946 roku pochodzi karta nr A 24092 zezwalająca porucznikowi Kazimierzowi Czerwińskiemu na pobyt w Londynie. Instrukcja dla zdemobilizowanych lub przeniesionych do rezerwy obowiązująca w Wielkiej Brytanii, Północnej Irlandii i na Isle of Man ma odręcznie naniesioną datę: 20 czerwca 1947 roku. Z 7 czerwca 1948 roku jest karta PCK informująca o przyjęciu do Polskiego Czerwonego Krzyża porucznika Kazimierza Tadeusza Czerwińskiego. W 1951 roku został wydany przez Brytyjskie Ministerstwo Obrony dokument zaświadcający o służbie wojskowej i przyznanych odznaczeniach. Są w nim podane informacje o służbie w polskich siłach zbrojnych pod brytyjskim dowództwem, od 1 kwietnia 1942 na Bliskim Wschodzie do 19 czerwca 1947 roku.

Brał udział w kampanii wrześniowej w Posłce, deportowany do Rosji, potem w Armii Polskiej w Rosji, od 9 września 1941 roku do 31 marca 1942 roku.

Medale polskie to Krzyż Walecznych, Krzyż Monte Casino; medale brytyjskie to Gwiazda Wojenna 1939-1945, Gwiazda Włoska, Medal Wojenny za lata 1939-1945, Medal Obrony. Honorowe zwolnienie ze służby nastąpiło 19 czerwca 1949 roku,

a od 1 kwietnia 1947 roku Kazik pobierał pieniądze z listy dla bezrobotnych. W 1951 roku został rezydentem, a potem obywatelem amerykańskim. Listy od rodziny z Polski były kierowane w 1947 roku na adres: Polish Board of Technical Studies, Chemistry Department, 4, Warwick Square, Victoria, London SW1, Great Britain. Indeks represjonowanych w ZSRR opublikowany przez Ośrodek Karta wymienia Kazimierza Czerwińskiego, syna Marii i Karola, urodzonego we Lwowie w 1916 roku w kategorii „jeńcy wojenni”. Areszt od 19.IX.1939 w Stanisławowie, przebywał w obozie w Krzywym Rogu na Ukrainie, potem, od 29.VI.1940 w Komi RA, Siewżełdołag, potem w Juży, Obłast Iwanowska, u Andersa od 2.IX. 1941 roku (Buzułuk). Kazik pracował w Stanach jako chemik w dużym laboratorium aż do przejścia na emeryturę. Nawiązał kontakty ze znajomymi w Polsce po roku 1956. Kilka razy był w kraju. Korespondował z narzeczonymi w Anglii, Stanach i w Polsce, ale nigdy się nie ożenił. Zmarł 5.X.1996 roku w Chicago i został pochowany na cmentarzu Maryhill, grób nr 14, blok 21, sekcja 5.

Pudła z ocalałym skromnym dobytkiem zostały dostarczone do Wrocławia na prośbę mego ojca. Nikt z jego rodziny wówczas już nie żył. Mój ojciec przyjaźnił się z Kazimierzem od 1926 roku, kiedy rodzina Sawickich przeniosła się z Kopyczyniec do Lwowa. Zbyszek Sawicki zmienił wtedy szkołę Powszechną w Kopyczyńcach na lwowską im. Marii Magdaleny. Chodzili do tej samej klasy. Kazik wspomina o pojawieniu się Zbyszka w szkole

w ten sposób.

Był luty, zimowa pogoda. W ławce zasiadł ktoś nowy, w dziwnym dziecięcym ubranku. Mało mówi, rozgląda się tylko jakby się obawiał czegoś lub kogoś. Gdy pani profesor przedstawiła go klasie, poczuł się normalnym uczniem.

W Jedenastym Państwowym Gimnazjum przy ulicy Szymonowiczów, przez osiem lat aż do matury przyjaźnili się, wracali razem do domu. Była ich mała, zżyta grupa: Zbyszek Nowotny, który oddzielał się w drodze powrotnej już przy ulicy Listopada (mieszkał koło sanatorium „Wisła”), Zygmunt Hoszowski kierował się na ulicę Świętej Teresy nr 3, a Kazik Czerwiński wchodził w ulicę Murarską, Zbyszek Sawicki szedł zaś jeszcze dalej, do budynku nr 37 przy ulicy Nabelaka.

Kazik miał smutne lata młodości. Wychowywali go dziadkowie i wujostwo. Ojciec wpadał czasem w odwiedziny. Miał trudną pracę w policyjnym wydziale politycznym. O matce Kazik nigdy nic nie mówił. Zmarła prawdopodobnie w dniu jego urodzin. Czasem ze smutkiem w głosie zwierzał się kolegom, że zazdrości im domu, rodziców i rodzeństwa. Powiadał wówczas, że rodzina to *najdroższy skarb od Boga, którego trzeba strzec i pamiętać by go nie stracić*. Był koleżeński, dokładny, a nawet drobiazgowy. Dbał o czystość i elegancję. Interesował się żywo

koleżankami, ale wyznawał żelazną zasadę, że wszystko w życiu powinno toczyć się bardzo wolno, a postępować należy z niezwykłą rozwagą.

Spisane w maju i czerwcu 2004 roku



Fot. Stefan Hoffmann, Pixabay

Pamięć śladów

Rozmowa z panią Romą King, autorką książki

„Footsteps in the Snow”.



Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Była pani małym dzieckiem, kiedy wywieziono panią wraz z mamą, dziadkiem i prababcią na Syberię. Skąd państwo pochodzili, jak wspominała rodzina czasy przedwojenne?

Roma King:

Pochodziliśmy z Wilna, tam się urodziłam. Ojciec tatusia, Antoni Michniewicz miał majątek w Starych Święcianach, jakieś 70 kilometrów od Wilna. Rodzina była zamożna. Tatuś, Romuald Michniewicz był jedynakiem. Ukończył prawo na Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie, a potem szkołę oficerską. Rodzina mamusi - Danowscy, też mieszkała w Wilnie. Mamusia - Janina Danowska, mówiła mnie i bratu, że pochodziła ze szlacheckiej rodziny.

Rodzice wzięli ślub w 1938 roku. Byli bardzo szczęśliwi, opowiadali o tym, widać to też na przedwojennych zdjęciach. Gdy wybuchła wojna tatuś zawiózł nas do dziadka, do Starych Święcian. Ponieważ Wilno było bombardowane, myślał, że tam dla nas będzie bezpieczniej. Niestety cztery tygodnie po wybuchu wojny do majątku weszli Rosjanie i zabrali mnie, mamę, dziadka i prababcie na Syberię.

Jak wyglądało życie polskiej rodziny na Syberii?

Żyło się z dnia na dzień, nie było nadziei. Nikt nie wierzył, że można się wydostać z tej syberyjskiej tajgi. Prababcia i dziadek opiekowali się mamusią i mną. Gdyby nie ONI to pewnie zmarłybyśmy już w pierwszych miesiącach zsyłki.

Pani ojciec był więziony w Moskwie, a po ogłoszeniu

amnestii przez Stalina i wyjściu z więzienia odnalazł rodzinę. Proszę opowiedzieć, jak potoczyły się dalsze Państwa losy.

Po wyjściu z więzienia tatuś nas odszukał. Chciał zabrać nas i jeszcze jedenaście polskich rodzin z dwóch kołchozów. Miał odpowiednie dokumenty w tej sprawie ze sztabu generała Władysława Andersa. Po zawiadomieniu tych rodzin, że opuszczają Syberię by dołączyć do Armii Andersa, wszyscy pojawili się na stacji kolejowej. Jednak NKWD ich zatrzymało. Powiedzieli do tatusia - ty jesteś oficerem i amnestia tylko ciebie obejmuje, amnestia nie dotyczy cywilów. Kto będzie pracował na roli, w kopalniach czy przy wyрубie lasów, oni nigdzie stąd nie wyjadą!

NKWD absolutnie nie dało się przekonać i dokumenty od generała Andersa w niczym nie pomogły. Wszyscy musieli z powrotem wracać do kołchozów.

Mój tatuś wtedy bardzo się rozchorował i trafił do szpitala. Dziadek mu tłumaczył - jedź sam jak najszybciej, zabierz ze sobą tylko żonę i dziecko, bo jak ich teraz nie zabierzesz, to już nigdy ich nie zobaczysz. Tatuś nie chciał się zgodzić, żeby zostawić na Syberii swojego ojca i babcię, ale dziadek go przekonywał - w naszym wieku nie podołamy takiej podróży, będziemy dla was tylko ciężarem. My mieliśmy dobre życie, teraz przyszła kolej na

was. Mieszkamy tu już dwa i pół roku, znamy tutejszych rosyjskich kołchoźników, to dobrzy ludzie, pomogą nam, jak będzie trzeba.

Po wojnie, nie mieszkała pani nigdy w Polsce, nie chodziła do polskich szkół, a pięknie pani mówi i pisze po polsku. Czy to zasługa mamy?

Tak, znajomość języka polskiego zawdzięczam mojej mamusi. Ona w tę naukę włożyła bardzo dużo serca i pracy. Całe życie mnie uczyła nie tylko języka, ale też literatury i historii Polski.

Jestem jej za to bardzo wdzięczna. Nawet, jak już byłam mężatką, przysyłała mi z Anglii polskie książki „Krzyżaków” czy „Pana Wołodyjowskiego”. I powtarzała mi - czytaj, bo tak utrwała się język polski, patrz na słowa i staraj się zapamiętać pisownię, jakbyś każdy wyraz fotografowała.



Pani Roma King przy plakacie reklamującym film na podstawie jej książki.

Kiedy pomyślała Pani, żeby napisać książkę o losach swojej rodziny „Footsteps in the Snow”?

Przez całe życie mamusia przy każdej możliwej okazji opowiadała mi jakąś historię rodzinną, dołączała w listach kartki dotyczące czegoś, o co wcześniej pytałam lub o czym rozmawialiśmy. I zawsze mi powtarzała – spisz to wszystko, aby nasze wnuki i prawnuki poznały tę smutną historię zabrania nas z domu i z

naszej Ojczyzny na daleką Syberię.

Tak więc jak poszłam na emeryturę z UCLA, zaczęłam zbierać notatki zarówno moje, jak i mamusi, żeby opowiedzieć naszą historię dla wnuków i prawnuków. I po kolei zaczęłam wszystko spisywać. Wyszła obszerna opowieść. Dałam ja najpierw do przeczytania koleżance. Ta zadzwoniła następnego dnia z euforią – o 3 nad ranem skończyłam czytać Twoją książkę, nie mogłam się od niej oderwać, ona jest wspaniała! To nie jest opowieść tylko dla wnuków i prawnuków, ale i dla każdego, kogo interesują ludzkie losy i historia. Zrezygnuj tylko z niektórych czułych słów dla wnuków i będzie książka dla dorosłych. A wnuki i tak przeczytają.

Tak też zrobiłam. Poprawiłam niektóre fragmenty, student zaprojektował mi okładkę, według moich wskazówek i wyszła książka.

Jak ta książka została przyjęta? Gdzie była prezentowana, kto przychodził na spotkania?

Książka „Footsteps in the Snow” wzbudzała i nadal wzbudza duże zainteresowanie. Prezentowałam ją w pięciu stanach. Na spotkania autorskie jeździłam tam, gdzie miałam przyjaciół. Ukończyłam University of Michigan w Ann Arbor, najpierw więc zwróciłam się, do mojej przyjaciółki, która została po latach

Director of Libraries on Campus w Ann Arbor. Ona bardzo się ucieszyła, napisała, że zorganizuje mi spotkanie w bibliotece, że mogę się u niej zatrzymać itd. Potem były inne miasta: Phoenix (Arizona), Atlanta (Georgia), Santa Monica (California) i w Flint (Michigan). Prawie wszystkie wieczory odbyły się w bibliotekach, oprócz Phoenix, gdzie koleżanka zorganizowała mi spotkanie na 80 osób w swoim domu. Miałam też kilka spotkań w Los Angeles, w klubie „UCLA faculty wives”, do którego należę od 20 lat. W krótkim czasie sprzedało się 1500 książek i trzeba było książki dodrukować.

Na spotkania przychodzą głównie Amerykanie w wieku 50-70 lat. Mają wtedy zwykle więcej czasu dla siebie. Są zaskoczeni historią Polski i skomplikowanymi losami polskich rodzin. Ale zdarza się też, że przyjdą młodzi ludzie, co mnie zawsze bardzo cieszy. Bo to dla nich, dla następnych pokoleń, jest moja historia.



Dwór w Wilkowicach koło Rawy Mazowieckiej, fot. www.dworwilkowice.pl.



Serdecznie zapraszamy na prywatną premierę filmu

"Pamięć Śladów"

(ucieczka z Sybiru)

Na podstawie książki Romy King

"Footsteps in the Snow"

Prawdziwa historia rodziny Pani King
Ucieczka z Syberii...

Miejsce:

Dwór Wilkowice, Wilkowice 88A, 96-200
Rawa Mazowiecka, Polska

Data:

8 Września (sobota) 2018r.

18:00 - 20:00 Powitanie gości oraz poczęstunek
20:00 - Projekcja filmu i rozmowy kulturalowe

RSVP do 24 sierpnia br. na adres: rsvp@PamiecSladow.com

Dress code: strój wieczorowy



Przedpremierowa projekcja filmu i przyjęcie w dworze Wilkowice. Siedzą - Roma King wraz z mężem Dr. Stefanem Kanią.

Jak to się stało, że powstał film - fabularyzowany dokument „Pamięć śladów” (2018) w reżyserii i według scenariusza Ignacego Szczepańskiego z Mateuszem Damięckim w roli Romualda Michniewicza - Pani ojca, zrealizowany na podstawie Pani książki?

Ktoś dał moją książkę dyrektorowi Studia Filmowego WIR w Warszawie. Po przeczytaniu zgłosił się do mnie, z pytaniem, czy wyrażę zgodę na realizację filmu fabularno-dokumentalnego na podstawie swojej książki. Ależ TAK, oczywiście - z radością się

zgodziłam. I tak zaczęła się długa współpraca. Byłam w Polsce w 2016 i w 2017 r., udzielałam wywiadów i uczestniczyłam w planach filmowych. A we wrześniu 2018 r. przyjechałam na uroczystą premierę filmu w kinie Muranów w Warszawie, która odbyła się 18 września. 8 września natomiast odbył się, niezwykle pięknie zaaranżowany przez moją przyjaciółkę Martę Kaczkowską, przedpremierowy pokaz filmu w dworze Wilkowice koło Rawy Mazowieckiej. Byłam wzruszona, dwór, jak mojego dziadka pod Wilnem. Obok posesji wspaniała winnica, z której wina są eksportowane do wielu europejskich krajów. Moja przyjaciółka zaprosiła ekipę filmową i wielu znakomitych gości. Przyszło 135 osób. Było bardzo elegancko, do tego wytworna kolacja, kelnerzy podający do stołu. I nie kończące się rozmowy. To był wspaniały wieczór, którego nigdy nie zapomnę.

Jak film został przyjęty w Polsce?

Film został przyjęty bardzo ciepło i serdecznie. Zarówno po pokazie przedpremierowym w dworze Wilkowice jak i po premierze w kinie Muranów ludzie ustawiali się w długiej kolejce, żeby podejść do mnie i porozmawiać. Dziękowali mi, że napisałam książkę, na podstawie której powstał film, mówili, że tak mało wiedzieli o Syberii i o życiu polskich zesłańców, zabranych z własnych domów i zmuszanych do pracy w ciężkich warunkach.

Niektórzy ocierali łzy, mówili, że ich rodziny też tam były, ale nie wróciły. Mówiono mi, że od czasów wojny aż do czasów Solidarności nie można było mówić o wywózce 2 milionów mieszkańców kresów na Sybir, bo to było karane więzieniem. Nikt nie uczył o tym w szkołach. Takie to były czasy komunistyczne.

Czym dla Pani jest ten film?

Dla mnie jest to film przede wszystkim o moim ojcu. Jego odwaga, charakter, miłość rodziny, to są wspaniałe i uniwersalne cechy. Cieszę się, że na podstawie losów mojej rodziny inni będą się uczyć, co jest w życiu najważniejsze i co trzeba cenić i pielęgnować. Rodzina, miłość i własny kraj – to są bezcenne wartości, o które trzeba dbać. Nie zawsze da się osiągnąć sukces zawodowy czy biznesowy, ale jak się ma miłość bliskich i rodzinę, to nic w życiu nie będzie trudne.

„Kto chce, ten może, kto chce, ten zwycięża!” – jak powiedział Józef Piłsudski.

Film dostał I nagrodę w kategorii najlepszy film dokumentalny na Festiwalu Filmów Polonijnych „Losy Polaków 2018” odbywającym się w Warszawie. Można go

będzie zobaczyć podczas Austin Polish Film Festival, w niedzielę 11 listopada 2018 r. o godzinie 12.00 oraz spotkać się z panią Romą King.

Więcej informacji:

www.austinpolfilm.com

Zajsan u stóp Ałtaju



Jezioro Zajsan, fot. Dmitry A. Mottl, wikipedia.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Syberia była domem małżonków Bronisławy z Szemiotów i Modesta Iljinów aż do roku 1922 roku. Mieszkali w Dżungarji, w miasteczku Zajsan wtopionym w góry Ałtaju. 13 grudnia 1918 roku urodziło się trzecie dziecko – Wiktoria zwana Wiką. (Była to późniejsza sanitariuszka Wojskowej Służby Kobiet w Powstaniu Warszawskim, późniejsza artystka rzeźbiarka).

Gdy pytam Kaję o obrazy dzieciństwa, odpowiada mi, że swoje dzieciństwo wspomina jak piękną bajkę. Mieszkali na skraju miasteczka Zajsan, którego uliczki tworzyły szachownicę. Z

jednej strony była dolina dochodząca do stromego zbocza Ałtaju, z drugiej cerkiew tuż nad rzeką Dźminiejką. Dalej przechodziło się przez nieduży drewniany mostek i idąc w prawo, dochodziło do młyna, przy którym rzeka była przegrodzona kamienną tamą tworząc dość głębokie rozlewisko, w którym można było pływać. Przy letnich upałach dochodzących do 50 stopni Celsjusza, kąpiel w rzece sprawiała szczególną rozkosz. Nad brzegami rzeki, rosły różnorodne krzewy, dzikie róże, głóg, darnina. U stóp Ałtaju, za mostkiem, rozciągał się step, i tam gdzieś, ale nie wiadomo było gdzie, przebiegała granica między Rosją i Chinami. Step wyglądał dość jednostajnie, dopiero bliżej miasta rosły drzewa topoli, jarzębiny i czeremchy. Kwitnąca wiosną na biało czeremcha odurzała mocnym, przyjemnym zapachem. Niezwykle też pachniała lukrecja o słodko-mdłych korzeniach, przysmaku dzieci, które uwielbiały je wysysać. Lukrecja była znana od dawna w Chinach, Egipcie, Grecji, jak i w starożytnym Rzymie, wierzono, że jej korzeń posiada moc magiczną, używana też była jako roślina lecznicza.

Iljinowie mieszkali w dużym otynkowanym domu z płaskim dachem. Przez ogród przepływał aryk, specjalny kanalik (te kanaliki obsługiwały wszystkie domy w Zajsanie) o pionowych ścianach i płaskim dnie, którym płynęła źródłana woda z gór. Służyła do picia domownikom i wspierała całe gospodarstwo, a było ono rozległe. Obszerne podwórze otaczały zabudowania gospodarcze. W obejściu były trzy wielbłądy - baktriany, osobno

dwa konie, krowy, owce z charakterystycznymi dla tych regionów kurdiukami. Kurdiuk - to był taki jakby worek z tyłu owcy, jak garb u wielbłąda. Gdy owca jest chuda, zwisa z tyłu, gdy na jesieni jest tłuściutka, kurdiuk wypełnia się i przedłuża poziomo tułów o mniej więcej czterdzieści centymetrów. Były też świnie i wielkie wieprze, a także mnóstwo drobiu, indyki i kury.

Wielbłądy były dwugarbne, w wielkich worach zwanymi jukami dowoziły węgiel z „własnej kopalni”. Kopalnia była odkrywkowa, stanowiła niewielkie wybierzysko podstemplowane na stromych, ale dostępnych zboczach Ałtaju. Nie było głębokie, gdy trzeba było stemplować głębiej, po prostu przenosiło się w inne miejsca. Kopalni doglądał Polak, inżynier górnik pan Napieraj. Poza węglem były kopalnie odkrywkowe grafitu, który służył do wymiany z Chińczykami między innymi na tkaniny, cukier, papier i zapalki. Napierajowie oprócz domku w Zajsanie - mieli także drugi niewielki domek, niedaleko kopalni, do którego przenosili się na lato. Stał on na wzgórzu nad strumieniem, stąd rozciągała się wielka dolina - step oparty o pionowo spadające potężne zbocze Ałtaju. W tym miejscu koczowniczy Kirgizi ze swoimi wielbłądami i stadem owiec rozbijali auł, miał on niewiele jurt, może siedem, może dziesięć. Wkoło były konie, wielbłądy i owce.

Bronisława Iljin często odwiedzała państwa Napierajów w ich letnim domku i zwykle zostawiała u nich Kaję. Napierajowie bardzo ją polubili, a ona zaś lubiła być w coraz to w innym

miejscu. Pamięta, gdy Kirgizi rozbili auł, ich małe dzieci biegały dookoła nago. Kaja często uciekała z samotnego domku państwa Napierajów na dół do aułu, a później za ich przyzwoleniem, nocowała u Kirgizów w jurcie na wojłoku, piła wielbłądzie mleko, jak i mleczny napój musujący zwany kumysem. Kirgizi częstowali pyszną herbatą w pięknych „kasieszkach” (były to filizanki z chińskiej porcelany bez ucha trzymane za denko). Herbata mocna i wonna, nie brakowało jej dla nikogo, była lekko osolona i zaprawiana baranym tłuszczem. W kieszeniach trzymali bursaki, które często podgryzali. Bursaki były to kawałeczki ciasta krojone z cieniutkiego długiego ruloniku, zrobione z osolonej mąki z wodą i smażone w baranym tłuszczu. Kirigizi, prości i mądrzy ludzie, byli bardzo życzliwi i troszczyli się o dzieci. Podarowali Kai dwa niewielkie białe orły, które odleciały, gdy podrosły. Nie wie skąd były te orły, ale pamięta, że mogła je dotknąć i pozwalały się głaskać.

Wielbłądy po przywiezieniu węgla odpoczywały na podwórzu przy przybudówce domu, na której płaskim glinianym dachu Kaja budowała domek dla lalek. Wykazała przy tym niemałą determinację i pomysłowość. W pudełkach po zapałkach suszyła cegielki z gliny, i właśnie z nich zbudowała gliniany domek.

Wielbłądy były wysokie, a przybudówka niższa od domu, więc lubiły wsuwać na nią głowy. Kaja chcąc się z nimi bawić, czasami drażniła je gałązką po chrapach, a one w odpowiedzi,

poirytowane, opluwały ją. Dokuczali sobie nawzajem tak długo, aż albo Kai, albo wielbłądom, się znudziło. Na ogół były łagodne i posłuszne, klękały, gdy się na nie wsiadało, kroczyły majestatycznie lekko się kołysząc. Mała Kaja jeździła na wszystkim, na czym się dało, na baranie, który tego nie lubił, na osiołku, bo był i osiołek, a także jeździła na świni. (...)

W dalekiej dolinie mieszkał w domu z zawieszoną nad tą doliną werandą stary człowiek - pszczelarz. Kaja jeździła tam konno ścieżką wśród wysokich gór z matką po miód. Nie pamięta pasieki i nie wiedziała, czy pszczelarz miał ule, czy też zbierał z barci w lesie, bo w tym rejonie był już las, ale miód zawsze był gotowy. Matka jechała na swoim gniadym koniku, który czasami był zaprzęgany do wozu lub zimą do sań. Zwykle koń bardzo tego nie lubił, skakał wtedy przez rowy w stepie zrzucając powożącego. Jeśli to była Mama, to wiedział o tym, zatrzymywał się, i był jej posłuszny. Właściwie nikt poza nią nie mógł na tym gniadym koniu jeździć.

Kaja jeździła przeważnie na oklep na wielkim starym karym koniu, którego grzbiet był wygodny i szeroki jak kanapa. Wygodniej było jeździć na wielbłądzie siedząc między dwoma garbami. Najczęściej jeździło się jednak konno lub bryczką, zimą saniami. Wielbłądy były zajęte wożeniem węgla.

W domu obok pokoju dziennego, dwóch pokoi rodziców,

osobnych Kai, jej brata i siostry, był także pokój Jefrosinji Fiodorowej. Była ona Rosjanką - „białą uciekinierką” zadomowioną w rodzinie Iljinów. Pochodziła spod Petersburga i była kiedyś żoną carskiego oficera. Bronisława przyjęła ją do domu i Jefrosinja zajmowała się gospodarstwem. Całymi dniami przebywała w olbrzymiej kuchni, z której prowadziły drzwi w różne miejsca, na przykład do przybudówki, która służyła jako letnia spiżarnia. Stały w niej słoje z konfiturami, wiadra pełne jakichś marynat, worki z kaszą i pszenną mąką (bo żyta tam nie było), wisiały pęta kiełbas i szynki. W domu był także specjalny duży pokój służący jako spiżarnia zimowa. Stały w nim wielkie beczki z kiszoną kapustą i niedużymi arbusami. Na hakach wisiały całe połacie świń, baranów, zimą polewane wodą, zamrożone. Kolejne drzwi z kuchni prowadziły do łazienki nazywanej umywalnią.

Na środku wielkiego podwórza był „kierat”, przymocowane do koła drągi, które obracał koń. Drągi miały na końcu zawieszona siedziska dla dzieci. Na taką jazdę na kieracie schodziły się dzieci z okolic. W tymże miejscu na środku podwórza zimą budowano górę lodową do zjeżdżania dla dzieci sankami, z wydrążonym wnętrzem i schodkami na szczyt.

Na podwórzu, w głębi, stał niewielki dom, w którym mieszkała „chazajka”. Nikt nie wiedział, dlaczego tak się właśnie ją nazywało, i Kaja nie wie, czy może była to właścicielka

wynajmowanego przez rodzinę domu. Co dziwne, nikt jej nie widział, a wieści krążyły, że była bez nogi. Dzieci nie chodziły w tamtą stronę i mały domek omijały z daleka.

Ojciec Kai pracował jako buchalter, a matka udzielała się wśród polskiej społeczności, na przykład zorganizowała Koło Polaków i została jego przewodniczącą. Miała dużo obowiązków, między innymi zajęła się organizowaniem pomocy tym Polakom, którzy około 1921 roku uciekali przed docierającym na te tereny bolszewikami. Przerzuty odbywały się przez pustynię Gobi na wschód do Chin. Kaja pamięta, że na drogę szykowano suchary, suszono mięso. Kiedyś naszykowany suchy prowiant leżał na otwartym oknie w kuchni i zjadł go koń, który także był przysposabiany do drogi, bo uciekinierzy wyjeżdżali konno. Pamięta, że przesuwano termin wyjazdu i były z tym jakieś kłopoty.

W miasteczku mieszkało wiele polskich rodzin i wszyscy starannie pielęgowali święta i polskie tradycje. Polska była daleko i była niemal mitem dla wszystkich dorosłych. Dzieci żyły własnym życiem, którego obraz po latach nabierze jeszcze większego uroku. W tym wieku Kaja nie znała pojęcia ojczyzny, niewoli, i niewiele się zastanawiała nad rodzinną opowieścią, że ojciec kiedyś był zesłańcem na Sybir. Dzieciństwo odbiera się wprost, jako otoczenie i ludzie, którzy nas otaczają. Kaja pamięta, że jako małą dziewczynkę interesowała ją głównie

przyroda, zwierzęta i żyła z nimi w dużej symbiozie.

W mieście Barnauł po przyjeździe z Białegostoku zamieszkała matka Bronisławy, Elżbieta z Kuderskich Szemiotowa, zwana przez wszystkich Babunią, a także jej inne córki: Jadwiga (po mężu Białecka), Felicja, Konstancja, Józefa (która już wcześniej przeniosła się tam z Orenburga), i Waleria. Wszystkie ciotki były pracowite i przedsiębiorcze i dobrze sobie radziły. Kaja pamięta wspólne z ciotkami pływanie łódką po rzece Ob. Były zwykle dość uszczypliwe i mała dziewczynka nie lgnęła do nich. (...)

W młynie przy rzece Dżyminiejka mieszkała dziewczynka, starsza od Kai, dobrze ułożona i grzeczna. Była po jakiejś chorobie i dziergała dużo na drutach zachęcając ją także do tego zajęcia. Kaja zaś żadnych robótek kobiecych nie lubiła, nie miała koleżanek i ich towarzystwa unikała. Wolała z gromadą chłopaków biegać po polach, pływać w rzece lub pędzić w step. Wyrywali rosnącą na pagórkach w stepie wspomnianą lukrecję, której słodkie korzenie bardzo wszystkim smakowały i były dla dzieci jak cukierki.

Lubiła też biec ścieżkami w góry, gdzie w najwyższych partiach stały kozice bez ruchu, zanim je nie spłoszono. Wyglądały jak białe nieruchome rzeźby przyczepione do małych wystających skałek. Na dróżce często pojawiały się węże, wielkie, wygrzewające się w słońcu, lub niżej, wskakujące, a właściwie

wślizgujące się z chłupotem do rzeki. Chłopcy często je zabijali, o ile nie dało się ich ominąć na ścieżce.

Nie lubiła lalek. Pamięta, że szyło się je w domu, ale twarze miały ze skośnymi oczami, bo tylko takie maseczki przywozili Chińczycy, którzy przyjeżdżali do Zajsanu na handel, przywożąc między innymi główki do lalek. (...)



Widok na rzekę Ob w okolicach miasta Barnauł.

Barnauł był ładnym miastem o ciekawej architekturze. Położony wzdłuż jednej z największych rosyjskich rzek Ob, założony w 1730 roku jako osada, gdzie wydobywano srebro. Kopalnia srebra nadała mu specjalny status i szybko się rozwinął. W 1917 roku miasto liczyło już 70 tysięcy mieszkańców, i wciąż się rozwijało. Rok później połowa miasta została zniszczona przez ogień i potem pozostała część została zniszczona przez

rewolucję. W 1940 roku Barnauł zaczął ponownie się rozwijać, kiedy wiele firm przeniosło się w te rejony, aby uniknąć niemieckiej inwazji.

Zapamiętany obraz z wizyty u Babuni i ciotek w Barnaule: wieczór w Klubie Polskim. Panie ubrane w długie suknie, pięknie pachnące perfumami, jest „polski wieczór”, ma być teatr, będą deklamować także dzieci. Scena jest starannie udekorowana, dużo kwiatów i zieleni, lampiony. Kaja ma deklamować wiersz Adama Mickiewicza „Powrót taty”. Jest na scenie, ale kurtyna jeszcze nie podniesiona. Dziewczynka nie wytrzymuje napięcia i zaczyna mówić:

Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem

Za miasto, pod słupek na wzgórek,

Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,

Pobożnie zmówcie paciórki.

Tato nie wraca; ranki i wieczory

We łzach go czekam i trwodze;

Rozlały rzeki, pełne zwierza bory

I pełno zbójców na drodze.

Mama przerywa - „Nie teraz. Zacznie, gdy podniosą kurtynę...”. Kurtyna idzie do góry, a Kaja z płaczem ucieka ze sceny.

Pamięta, jak na placu w miasteczku Zajsan, gdy przyszli tam bolszewicy, był słup wysmarowany chyba mydłem, a na jego czubku zawieszono parę butów. Buty były wtedy dużym skarbem, a miał je zdobyć ten, który wejdzie po śliskim słupie na sam czubek i je zdejmie. Amatorzy ześlizgiwali się już z połowy wysokości, i chyba nikt tych butów nie zdobył.

W miasteczku nie było sklepów, kwitł wspomniany wyżej handel wymienny z Chińczykami, którzy brali grafit w zamian za cukier w tzw. głowach. Cukier wtedy był sprzedawany jako jednolita bryła wysokości około 50 centymetrów w kształcie stożka o ściętym wierzchołku i średnicy na dole około 25 centymetrów, w górze 15 centymetrów. Łamało się go specjalnymi młoteczkami lub szczypcami, a kawałki wielkości mniej więcej naszych obecnych kostek cukru - ale różnych kształtów - podawało się

wraz ze szczypczykami do brania już w cukiernicach, przy samowarze.

Wszystko robiło się własnym „przemysłem i pomysłem”. W każdym polskim domu wykonywało się coś na użytek innych. Pod samymi górami Ałtaju mieszkała wdowa z dwiema dorosłymi córkami. Robiły kapelusze i szyły strojne suknie. Zdarzało się, że wszystkie Polki latem chodziły w różowych sukienkach, bo bela materiału przywieziona przez Chińczyka była akurat różowa. Bronisława Iljin dla wszystkich znajomych dzieci robiła sandały. Piastun dzieci, stary Kirgiz, wytłaczał z wielbłądziej lub owczej wełny walonki na zimę, wołokowe buty do kolan. U państwa Guzów była zaś tłocznia oleju, który tłoczyło się z maku.

Aby tłoczyć olej, latem jechało się w kilka wozów, niczym cygańskich, okrytych na pałkach brezentem chroniąc przed upałem, który dochodził + 50 stopni Celsjusza. Jechało się z pościelą, samowarem i garami na odległe pola zasiewane przez Chińczyków makiem. Zabierało się ze sobą prowiant, bo jechało się na kilka dni lub na cały tydzień, aż gdzieś do niedalekiej granicy z Chinami.

Chińczycy zasiewali makiem całe połacie ziemi, która była niczyja. Gdy makówki były zielone, nacinali je nożykami, a gdy występujący w nacięciach sok tężał i nabierał koloru brunatnego, zbierali go nożykami. To było opium. Ziemi było tyle, że pola z

makiem pozostawiano i siało się każdego roku w innym miejscu. Mak dojrzewał i wtedy wyprawy organizowali Polacy.

Rozbijało się obóz, gotowało potrawy, spało pod gołym niebem na matach. Całe dni odbywało się zrywanie i rozcinanie makówek i zsypywanie maku do worków. Wieczorem zasiadało się dookoła ogniska z rożnem, na którym piekł się baran i łuskało się mak do worków. Olbrzymi księżyc o jakimś kolorze żółto-zielonym, wzbijał się coraz wyżej, i była taka cisza, że słyhać było szelest ziarenek maku obijającego się o makówki, gdy rodzinny kot Macio, którego także zabierano, chodząc po zagonach potęcał łodygi maku. Po powrocie do miasta u państwa Guzów w tłoczni wyciskało się olej, a wielkie krążki makuchy służyły do karmienia zwierząt.



Góry Ałtaj w Kazachstanie, fot. wikipedia.

Przygotowania do srogiej syberyjskiej zimy były różnorodne. Na przykład, biło się świnie i barany. Wielkie wianki suszonej kiełbasy i wędzonych szynek zapełniały spiżarnię. Duże beczki pełne jagód, żurawiny, marmolady, pastyli, a nawet beczułki z masłem ustawiało się rzędem w spiżarni w domu. Na zewnątrz w stodole pełno było zboża i siana, do składzików zwożono zapasy węgla i kiziaku. [Kiziak - to były okrągłe wielkie „placki” stłoczone z nawozu krowiego lub końskiego, które służyły na podpałkę].

W domu zimą było zawsze ciepło. Kirgiz - piastun palił w piecach i zabawiał dzieci „pożarami aułu”. Jeden z pieców ogrzewający pokój dzienny i jednocześnie pokój Kai, miał wielkie palenisko od strony sieni. Na brzegu tego paleniska Kirgiz

ustawiał zrobione z papieru małe jurty, i zawsze któraś z iskier wywoływała pożar. Dzieci spędzały z nim wiele wieczorów. Szczególnie po powrocie z zabaw na zewnątrz, gdzie zimą mróz sięgał -40 stopni Celsjusza, chętnie siedziało się w domu. Piastun snuł różne opowieści, nie wszystkie dzieci rozumiały, ale atmosfera tych opowiadanych historyjek była zwykle tajemnicza.

Na Boże Narodzenie w dużym pokoju ustawiało się drzewko topoli. Okoliczne góry nie były porośnięte iglastymi drzewami, dopiero dużo dalej, w niedostępnej zimą dolinie, rosły świerki i jodły. Święta przy topoli, która o tej porze roku miała już lepkie dość duże pąki, były obchodzone uroczyście i z zachowaniem wszelkiej tradycji. Drzewko było ubrane wycinanymi przez Ojca papierowymi konikami, ptakami, lepionymi przez dzieci kolorowymi łańcuchami, z aniołem na czubku, piernikami i orzechami zawieszonymi w siateczkach zrobionych z bibułki. Drzewko obłożone płatami waty imitującej śnieg błyszcząco migając dziesiątkami świeczek z Chin. Prezenty dla dziewczynek to były wspomnianie wcześniej skośnookie lalki szyte ze szmatek z główkami z celulozy. Były też wycinanki ojca, który miał duże zdolności plastyczne i potrafił dzieci obdarowywać pięknymi wytworami z papieru. Ojciec obdarzony pięknym głosem śpiewał kolędy. Stół był nakryty białym obrusem, pod nim leżało siano. Na stole na talerzyku był domowej roboty, wypiekany w domu cieniutki opłatek. I obowiązywało trzynaście potraw. Ryby sprowadzano łowione z odległego Irtysza i niedalekiego,

oddalonego o około czterdzieści kilometrów jeziora Zajsan. Były faszerowane, smażone, królowały szczupaki i bieluga w galarecie. Były też karasie i inne jesiotrowate. Była zupa grzybowa z uszkami, kutia, łamańce, kisiele, kompoty i torty Mamy. Bronisława wypiekała wspaniale torty biszkoptowy, orzechowy i inne z dodatkami miodu i maku.

Na co dzień atmosfera w domu była zdrowa ludzi czynnych, życzliwych sobie. Ojciec był zazwyczaj spokojny i łagodny. Kaja nie pamięta, by mówił ostrym czy podniesionym głosem. Matka zaś była energiczna, czynna i zwykle w dobrym humorze. Kaja nie pamięta żadnych pieszczot ani wielkich serdeczności. Traktowano dzieci jak dorosłych, serio, życzliwie, obowiązywała prawda, odpowiedzialność i posłuszeństwo. Nie było także żadnych uciążliwych ograniczeń. Dzieci były uczone samodzielności i obowiązkowości.

Kiedyś trzyletnia Wika wybrała się sama w góry, nikt nie wiedział gdzie zaginęła, poszukiwania trwały wiele godzin. Dziewczynkę szukało całe miasteczko, aż spotkał ją na górskiej ścieżce około trzech kilometrów od domu stary Piastun, Kirgiz schodzący z gór.

„Co tutaj robisz?” zapytał.

„Idę zobaczyć szeroki świat”, odpowiedziała.

Ta rezolutna odpowiedź dziewczynki była chętnie powtarzaną opowieścią przez wszystkich członków rodziny.

Kaja starsza od Wiki o trzy lata także robiła samodzielne wyprawy na drugą stronę rzeki, ale zawsze w grupie chłopaków. Inne dziewczynki w jej wieku nie oddalały się od domu, były wciąż dziecinne, a starszych nie pociągały takie wyprawy, jak po wspomniane korzenie lukrecji. (...)

Jesienią cała rodziną Iljinowie wyjeżdżali na pasznię. Było to pole, gdzie rosły arbuzy i dynie i o ile Kaja dobrze pamięta - pszenica. Żyta nie uprawiano i Bronisława tęskniła za żytnim pieczywem. Rosły za to właśnie olbrzymie melony i arbuzy. Melony były soczyste, słodkie i wonne. Arbuzy się soliło i kisiło, podobnie jak kapustę, mniejsze dodawało się do kiszanej w beczkach kapusty. Z paszni przywoziło się już dojrzałe arbuzy i dynie. Sprawdzało się dojrzałość owoców w ten sposób, że nacinało się i wyjmowało trójkątny stożek, patrzyło, czy był czerwony i gotowy do spożycia. Gdy owoce były wciąż niedojrzale, wkładało się wycięty trójkąt z powrotem i zrastał się on z całością. Dopiero przy zbiorach można było dostrzec jakby pozostawioną bliznę.

Pasznie były nawadniane rowami z wodą ze źródeł górskich. Deszczy latem nie było. Kaja nie pamięta, czy wśród warzyw koło domu były ogórki, ale na pewno były pomidory. Z jagód i owoców

pamięta poziomki i uruk, słodki owoc wielkości dużego włoskiego orzecha i renglody z dużą pestką i bardzo słodkim miąższem. Jadło się je zwykle podsuszone jak rodzynki.

Mama robiła przetwory z poziomek, a z owoców dzikiej róży tzw. pastilę. Była to gęsta marmolada, smarowana na płasko na arkuszach papieru lub deskach grubości około dwóch centymetrów, którą suszyło się na płaskim glinianym dachu, by potem zdejmować całe arkusze tego przetworu i kroić w kostkę – były pyszne jak cukierki. Dzieci łasowały w spiżarni i z rulonów pastili urywały kawałki, co było o wiele smaczniejsze niż krojona kostka. Nigdy już w życiu nie spotkała takich owoców, jak w Zajsanie. (...)

Polaków z Sybiru łączyły wydarzenia historyczne, surowy klimat i niełatwa codzienność. Stawali się twardzi i zahartowani na niedole i braki, a także wrażliwi i otwarci na wszelkie nieszczęście innych. Ponoć Sybiracy, to ludzie wielkiego serca i honoru, którzy mają w sobie potrzebę i gotowość niesienia pomocy drugiemu człowiekowi. Na Syberii podróżni, pokrzywdzeni i głodujący spotkają się z uprzejmością i pomocą w myśl zasady – dzisiaj w biedzie ty, jutro mogę być ja.

Kaja z Ałtaju wyniosła zaufanie do ludzi, poczucie bezpieczeństwa, pełnię swobody. Zapamiętała, że wszyscy wkoło byli uczciwi, życzliwi, pomocni w potrzebie. Nie było

zamkniętych domów, żadnych nawet zamków pod klamkami. Co za luksus żyć bez kluczy i zamków. Domy były otwarte jak jurty, tylko wewnątrz gdzie nie gdzie „zaszczepki” (dzisiejsze haczyki). Duży dom w Zajsanie także nie miał zamków, drzwi zamykało się na klamki. Pierwsze kradzieże przysły z rewolucją, która w okolicy Zajsana dotarła z końcem 1921 roku.

Po latach Kaja powie, że okres dzieciństwa wydaje jej się szczególnie beztroski i szczęśliwy. Czas upływał radośnie, a swoboda i przestrzeń kształtowały charakter. Tak było do wspomnianego wyżej 1921 roku, kiedy do Dżungarii dotarł bolszewizm.

Kaja pamięta, że gdy kiedyś przejeżdżali przez mostek na rowie w stepie zobaczyła siedzącego pod nim nieżywego Chińczyka z oskalpowaną głową. Widok był straszny! Był to sygnał, że bolszewicy są wkoło, bo oni właśnie tak „polowali” na Chińczyków.

Polacy wiedzieli, że muszą uciekać. W domu od jakiegoś czasu organizowano konne przerzuty mężczyzn przez pustynie Gobi na wschód. Gdy przysli bolszewicy zaczęli wyłapywać ludzi, zaczęły się przesłuchania. W domach polskich urządzano jakieś mityngi. Rodzina z Barnaułu - Babunia i ciotki - wróciły do Polski wcześniej i zamieszkały w Białymstoku. Mieszkająca w dalekim Zajsanie pięcioosobowa rodzina Ilijnow z najmłodszą czteroletnią

Wiką żyła dalej normalnym trybem, ale zaczęli oficjalne starania o powrót do Polski. Formalności było dużo i długo trwało ich załatwianie. Przygotowywali się do wyjazdu starannie robiąc zapasy na drogę. Gdy wszystko było gotowe, wyruszyli w wielką, wręcz koszmarną podróż trwającą prawie rok.

Fragment książki Aleksandry Ziólkowskiej-Boehm, Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża, wyd. Muza, Warszawa 2006.

Rozmowa z Aleksandrą Ziólkowską-Boehm na temat książki „Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża”:

<http://www.cultureave.com/kaja-od-radoslaw-a-czyli--historia-hubalowego-krzyza/>

Syberyjskim szlakiem Dargiewiczów. Część II.



Romuald Mieczkowski

Życie w posiołku

- Żyliśmy pokutniczym życiem, tworząc jakby wyklęte pokolenie. Nikt się nie cieszył, nie śpiewaliśmy pieśni swoich, z rzadka ktoś zażartował, z rzadka gościł uśmiech na twarzach naszych. W posiołku nie było wesel, nie rodziły się dzieci, bo ludzie nie chcieli przenosić swojego nieszczęścia na potomstwo. Kwintesencją naszego istnienia było przetrwanie. Przetrwanie razem, jeśli Bóg da, bez strat, jako rodzina - powraca do wspomnień Tadeusz Dargiewicz. - Najgorzej to było na święta, człowiek zupełnie wtedy miękł, kobiety, a i mężczyźni też, wszyscy ocierali łzy. Siostra przesyłała na Boże Narodzenie opłatek. Przed oczy powracały rodzinne, nierealne teraz widoki, wizerunki krewnych. Ale jakoś trzeba było żyć - poza pracą i umęczeniem siebie wspomnieniami. Jednak o rozrywkach nikt nie myślał, a do jedyne go klubu w okolicy raczej nikt z zesańców nie chodził. Zbierali się tam Rosjanie, niektórzy tu już urodzeni, i czuli się ze sobą zupełnie dobrze. Parę razy, jako ludzie młodzi, z ciekawości poszliśmy do klubu. Zapamiętały się mi czastuszki, które składali śpiewający o nas...

Spiecpieresielenicy narzekali, że nie ma wśród nich księdza. Prośli nawet naczałstwo, żeby im księdza z okolicy przywieść, ale przedstawiciele władzy odpowiadali, że niejednego nie zostało... Po latach potem Tadeuszowi opowiadał ksiądz-zesłaniec spod Olsztyna, jak starali się duchowni ukryć swoje powołanie. Udawali robotników, podobno specjalnie rzucali niektórzy przekleństwami, by nie wyróżniać się spośród więźniów kryminalnych, z którymi też nierzadko przebywało się razem w niektórych posielenijach czy łagrach. Zresztą w obcowaniu z władzą w „dobrym tonie” były przekleństwa...

Z braku księdza, na początku wyręczała jedna starsza pani, która odprawiała nabożeństwa majowe i inne, ale po jej śmierci nie było następców. Matka Tadeusza zabrała ze sobą książkę do nabożeństwa, więc cała rodzina miała możliwość modlenia się. Interesował się tym pewien Rosjanin, którego przodków zesłano tu jeszcze za cara, prosił przetłumaczyć niektóre modlitwy na rosyjski.

Oczywiście, władza chciała czymś innym zastąpić wiarę. Ale sowieckie święta były obce, a i w czasie ich trwania zamiast wesołości była gorycz poniewierki. Parę razy przyjeżdżało kino, takie z przenośnego generatora. Zapamiętał się film pod tytułem „Titanick”, trudno sobie wyobrazić, ale do takiej głuszy²⁷ dotarł również bestseller z tamtych czasów „Tarzan”. Były próby założenia jakiegoś kółka, teatru amatorskiego, ale nic z tego nie

wyszło.

Jeśli chodzi o „rozrywki”, to w tych stronach można było jeszcze liczyć na książkę z biblioteki, ale oczywiście, po rosyjsku. O choć niektórzy szybko nauczyli się czytać w tym języku, to nawet lektury swego oprawcy były obce. Tak samo było z nauką, całe szczęście, że w rodzinie Dargiewiczów nie było kogoś w takim wieku, żeby obowiązkowo musiał pobierać nauki w sowieckiej szkole na Syberii. A te strony były dla ludzi silnych, i biada temu, kto zachorował. Z poważniejszymi przypadkami trzeba było chorego dostarczyć do miasteczka Podgornoje. Tam lekarz, obsługujący spieczeresielwńców, miał dużą butlę jakiegoś żółtego płynu, dawał pacjentowi pół szklaneczki tego płynu niezależnie od choroby – i już miało być dobrze! Hospitalizację stosowano przy bardzo rzadkich przypadkach. Dla chorowitych trudno było o jakieś ulgi, przede wszystkim o łatwiejszą pracę. Przez cały czas zabiegał o nią Adolf Dargiewicz, autor zdjęć syberyjskich, który słabego był zdrowia i często chorował. Ulgi, jakie udało się mu załatwić, polegały na tym, że zamiast wyrębu lasu, obsługiwał wagonik, który ciągnął motowóz, przewożący ludzi, opalał w nim burżujkę, smarował osie, żeby nie zapaliły się od ciężaru przewożonych kłoców. Prawda, w wyniku przebywania w Podgorodnoje był ten plus, że mógł dokonać zakupów materiałów fotograficznych, dzięki którym zachował się dziś tak ważny przekaz z tamtych lat.

Dopiero w 1955 roku doprowadzono sieć radiową, zwaną tu toczką²⁸, a w Polsce potocznie „kołchoźnikiem”. Był to głośnik z regulatorem, przez który można było słuchać jednej stacji. Czas był nowosybirski, a z głośnika Dargiewiczowie usłyszeli też i uświadomili sobie, jak rzeczywiście jest „sziroka strana, maja radnaja.”²⁹ Tę sowiecką piosenkę nadawano każdego dnia. Jeden raz usłyszeli wypowiedź Cyrankiewicza, który mówił, że należałoby łączyć rodziny polskie, porozrzucane po świecie, i wtedy pojawiła się iskierka nadziei o bardziej konkretnych kształtach – skoro ta wypowiedź dotarła aż na Syberię, coś w tym musiało być. Powrotem żyli przez cały czas. Tym bardziej, że o ucieczce raczej nikt nie myślał. Człowiek zginąłby w tajdze, a o szukaniu pomocy w innych posiołkach nie było mowy. Jak też poruszać się bez dokumentów w większych miastach, które otaczały gęsto łagry? Latem byli odcięci wodą, zimą – śniegami i mrozem.

Prawda, jednej osobie udało się zbiec. Jak to nie dziwne, 14-letniemu chłopcu z rodziny Krasowskich, pochodzącej z Podbrzezia. Chłopiec szczęśliwie dotarł do Wilna. Tadeusz Dargiewicz po latach spotkał go jako dorosłego mężczyznę w Giżycku, gdzie Krasowski z rodziną potem zamieszkał. Gdyby wiedział, że zostaną zwolnieni, chyba nie podejmowałby tego ryzykownego przedsięwzięcia. Gdyby wszyscy wiedzieli, że pozostaną zwolnieni po kilku latach, inaczej patrzyliby na swój los, inaczej odbywaliby swą katorgę, a może i na miejscowym

omentarzyku byłoby mniej krzyży...

Ale któż to mógł przewidzieć?



Ferdynand Ruszczyc

Powrót

W 1956 roku w posiołku Lesnaja zaczęto mówić o powrotach. Po

różnych perypetiach (Adolf ubiegał się nawet o wyjazd do Moskwy w tej sprawie, ale życzliwi odradzili – taki wyjazd mógł zaszkodzić) zapadła decyzja o zwolnieniu rodziny Dargiewiczów.

Mieszane mieli uczucia, bo przestawali już wierzyć w taką ewentualność. Po pięciu latach pobytu w Syberii pogodzili się w pewnym stopniu z przeznaczeniem, ze słyszenia wiedzieli, że może być znacznie gorzej – mieli przecież chatę, krowę, wykarczowali sobie niewielką działkę, otaczali ich dobrzy sąsiedzi. Dargiewiczom poszczyło się – wracali jako pierwsi.

Zazdrozczono im i cieszą się jednocześnie, bo skoro jedni wyjeżdżają, to i na innych przyjdzie kolej. Wśród miejscowych byli jednak tacy, którzy namawiali zostać, bo w Polsce jest... niepewnie! Władza znowuż, ale już w innym tonie, proponowała pozostać.

- Wyjeżdżając, chcieliśmy mieć jakieś dowody naszego „dobrowolnego” pobytu na Sybirze. Szczególnie uparł się nasz „inteligent” – Adolf – i zaczął kombinować, żeby nam dali jakąś bumagę³⁰. Ale naczałstwo było nieugięte, miało swoje instrukcje i stanowczo odpowiadano: „Nie nado wam budiet.”³¹ Nasi sąsiedzi, ludzie różnych narodowości błagali: „Pamiętajcie o nas, pomóżcie i nas stąd wyciągnąć!” – wspomina Tadeusz.

Postanowili zebrać się jak najszybciej, broń Boże, żeby nie

zmieniono decyzji. Kiedy wyjeżdżali, nie było mowy o powrotach Niemców, Ukraińców czy Litwinów. Sytuacja Polaków okazała się szczęśliwsza - o nich ktoś upominał się na szczeblu państwowym - choć kraj był zniewolony, to bezpośrednio nie wchodził do sowieckiego imperium.

Zebrali się więc bardzo szybko. Tak naprawdę, to nie było czego zabierać, prócz jedzenia na drogę. Choć może zabrali ze sobą za dużo ziemniaków, to potem przydały się w długiej podróży.

Odprowadzali Dargiewiczów wszyscy. Całym posiołkiem. Jakże wzruszające były pożegnania z towarzyszami niedoli! Wyznaczano sobie, przywołując najśmielsze marzenia, miejsce spotkań, obdarowywano pamiątkami. Taki prezent, w postaci zestawu - piła produkcji niemieckiej, młotek i siekierka - dostał i Tadeusz. Od Niemca, który jako płotnik uczył go tajników stolarstwa ze specjalnością wyrobu trumien. Zestaw ten dopiero niedawno zawieruszył się gdzieś w olsztyńskim garażu Tadeusza. Na drogę dostali też wódki, bo jakże bez niej przy takiej okazji! Kiedy odjeżdżali, u pozostałych szklily się łzami oczy.

Saniami przebyli 50 kilometrów do miasteczka Podgornoje. Był jeszcze jeden współpasażer, który udawał się do miejscowego więzienia. Nawet komendant NKWD Błochin zmiękł i zaproponował, że za poduszki da konia zamiast powolnego wołu. Zgodzili się i kiedy dotarli na miejsce, czekał na nich

kukuruźnik³². Razem wystartowała jeszcze jedna rodzina.

W Tomsku po raz pierwszy od lat poczuli się ludźmi. Nagła dobroć sowiecka sprawiła, że obdartusów odpowiednio „przyubrano”. Ojciec dostał kurtkę, brat też jakieś ubranie. Po raz pierwszy wyspali się po ludzku w normalnych łózkach, dostali posiłki, w mieście to nawet bez eskorty żołnierzy można było pójść na spacer...

Podróż do Polski trwała dwa tygodnie, jechali pociągiem osobowym, nawet z sypialnymi wygodami. Z Tomska z Polakami wyruszyły trzy wagony, po drodze doczepiano kolejne, w sumie około dziesięciu. Gdzieś w połowie drogi na wagonach wywieszono polskie sztandary. Dziwili się na stacjach ludzie, że Polska ma jeszcze swe barwy narodowe.

W wagonie konwojował – „dla porządku” – Dargiewiczów tylko jeden żołnierz. Owszem, bardzo grzeczny, wciąż pytał, czy czegoś nie potrzebują. „Niczewo nie nado nam, nie nado”³³ – odpowiadali pośpiesznie, obawiając się wciąż, że los może się odmienić, tym bardziej, że doszły słuchy, iż jedna rodzina została z sosteraw³⁴ zdjęta. Może dlatego, że narzekali na swój los, powiedzieli za dużo? – zastanawiali się. Po drodze widzieli przecież niemało strasznych rzeczy. Na wszelki wypadek postanowili mówić jak najmniej i nie wyrażać żadnych odznak niezadowolenia i sprzeciwu.

W Polsce

Granicę przekroczyli w Terespolu. W ciągu tygodnia przebywali w punkcie rozdzielczym w Żurawicy. Niektórzy potrzebowali szpitala, byli wygłodzeni. Sybiraków traktowano bardzo serdecznie, z wyrozumiałością. Ale trzeba było gdzieś się zakotwiczyć. Dargiewiczowie wyruszyli do Olsztyna, gdzie był już jeden z braci. Niestety, po tylu przeżyciach i stratach, na jakiś kąć własny nie można było liczyć. Święta Bożego Narodzenia Anno Domini 1956 witali na wolności, u brata, który ich przygarnął. Każdy dostał po tysiąc złotych zapomogi, i to było wszystko. Choć mieli tzw. Kartę, w której zapisano, żeby pomagać przybyłym, to władze podchodziły do tych z Sybiru najczęściej z rezerwą. Zaczynali więc od zera znowu, musieli mieszkać kątem u krewnych i znajomych, szukać pracy. Ale było to jednak życie na wolności.

Zaczęli powracać i inni. Po roku wrócił kolega Tadeusza Pałabis i również zamieszkał w Olsztynie. Powroty kolejnych rodzin były utrudnione: o ile Dargiewiczowie wracali na koszt państwa, to już po nich trzeba było zarobić na opłacenie podróży. A to nie taka łatwa była sprawa w tamtych warunkach, więc dorabiali, jak tylko mogli, wymagało to często niehumanitarnego wysiłku.

Różnie ułożyły się losy ich sąsiadów i znajomych z zesłania. Tacy Woronkowie, na przykład, przez lata czekali, że dzieci ich

zabiorą. Tak i nie doczekali się.

Los Mieczysława

- Dzięki Bogu, mnie los oszczędził. Choć nigdy nie byłem atletą, to zdrowie dopisywało, podobnie innym braciom. Ale nie wszystkim. Jak już opowiadałem - wyjaśnia Tadeusz, - brata Bronisława zastrzelił policjant. Najwięcej dostawało się Mieczysławowi - choć dobrze był zbudowany, wysoki. Niemcy go aresztowali w czasie wojny i chcieli wywieźć, czekali na decyzję w Rudominie. Ale jakoś udało się rodzicom temu zapobiec. Mieczysław był bardzo pracowity, prawdziwy gospodarz. Z drugiej strony - niezwykle wrażliwy. Kiedy przyjechali zabrać ostatnią krowę, tak bardzo się przejął, nie oddawał, więc enkawudziści starali się „zastraszyć” go, strzelali w jego stronę, a potem związali powrozem ręce. Kiedy zbliżały się wywózki, uciekał. Dostał silnej nerwicy, nie było żadnej możliwości leczenia. W tym czasie ktoś spalił kolchozową stodołę w Rybniszkach, gdzie były zmagazynowane narzędzia rolnicze, zabrane u miejscowej ludności. Na to Mieczysław ucieszył się i powiedział: „Czyżby przychodzi koniec na bandytów?” Coś w nim pękło, zabarykadował się w dużym domu w Baraszkach, przychodził tylko na wspólne posiłki, sposepniał. Kiedy nas w 1951 roku zabierano, stał się agresywny, mógł nawet schwycić za siekierkę... Więc sprowadzono większą siłę, Mieczysław zaczął uciekać, prawdopodobnie do siostry Anastazji, która była

mężatką i mieszkała w Solecznikach. Dogonili go akurat naprzeciwko domu pana Konopnickiego i tak zbili, że już nigdy nie odzyskał świadomości. Nawet na Sybir go nie zabrali, bo i komu taki był potrzebny? 40 lat przebywał w szpitalu dla umysłowo chorych w Nowej Wilejce. Po latach nie poznawał nikogo, nie mówił nic, gdy go odwiedzaliśmy, nawet nie brał od nas jedzenia. Zmarł samotnie w jakimś miasteczku na północnej Litwie. Nie zostaliśmy nawet powiadomieni o jego śmierci, dowiedzieliśmy się o tym dopiero w grudniu 1994 roku. Kiedyśmy napisali list do litewskiego ministerstwa, nie żył od ośmiu miesięcy. Po naradzie z bliskimi postanowiliśmy go godnie pochować i przewieźliśmy jego prochy na cmentarz na Rossie. Spoczął obok brata Bronisława - kończy gorzką opowieść Tadeusz.

Zapamiętał go jako przystojnego mężczyznę. W 1951 roku Mieczysław miał 20 lat, po małżeństwie marzył o dużej, zasobnej gospodarce.

Los najbliższych

Rodzice Tadeusza Dargiewicza zmarli w Polsce, dożywając sędziwego wieku. Zmarł też w Gdańsku brat Tadeusza Franciszek. Adolf, „fotograf sybirski” i człowiek o zacięciu artystycznym, mieszka w Białymstoku, Wilhelm - żołnierz AK, uniknął Syberii i w 1945 przyjechał do Olsztyna, siostra Maria

dostała się do Polski również w 1945 i osiadła w Gorzowie Wielkopolskim. Inna siostra - Anastazja Zieniewicz, już w czasie wojny była mężatką i to ją uratowało od wywózki. Dziś mieszka w Wilnie.

I wreszcie Tadeusz, którego opowieść w dużym skrócie próbuję utrwalić. Chciał zawsze się uczyć, ale nie sądzone mu było. Pracował jako robotnik, ślusarz, konserwator maszyn krawieckich. Nie narzeka, jest pogodnego usposobienia, bez emocji opowiada, że przez długie lata nikogo nie obchodziły ich syberyjskie losy, władza udawała, że tej tragedii nie było. Ożywia się, kiedy mówimy o działalności Związku Sybiraków, którego jest członkiem. Tak, spotykają się często. Uczestniczą w nabożeństwach, coraz częściej w pogrzebach, biorą w nich udział księża-katorżnicy. Ulgi? Drobne są. Nie płaci za telewizor, radio. Są pewne zniżki kombatanckie.

Tadeusz często myśli o Wileńszczyźnie, interesują go wieści z Litwy. Cieszy się, że jest ona wolna. To co było, nie wróci - powiada. Zresztą i z osady nic dziś nie pozostało. To miejsce porosło brzoškami. Nadzieja w przyszłości - uważa - w kontaktach nowego rodzaju między dziećmi wychodźców z Wileńszczyzny w Polsce a Polakami, którzy na niej zostali.

Zafascynowana miastem nad Wilią jest jego córka Elżbieta, udzielająca się w Towarzystwie Miłośników Wilna i Ziemi

Wileńskiej. To dzięki niej poznałem swych krewnych. Ela posiada mnóstwo zdjęć z Wilna i okolic, zawsze przyjeżdża „głodna” wrażeń i wiedzy o tych stronach. Jest pedagogiem. Tytuł jej pracy magisterskiej, którą obroniła w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Olsztynie, brzmi: *Monografia polskiej szkoły średniej im. A. Mickiewicza w Wilnie*. W tej szkole spędziła wiele czasu, chcąc poznać potrzeby i możliwości naszego szkolnictwa. Pragnie współpracy młodego pokolenia i częstszych kontaktów wzajemnych.

Przedstawiłem mały tylko wycinek życia Dargiewiczów w burzliwych i okrutnych czasach terroru. Zdaję sobie sprawę, jak niepełna jest ta opowieść. Bo i czyż można ogarnąć los ludzki w czasie krótkiego spotkania? Jako „kronikarz” tych ziem, będę chciał się przyczynić, aby ocalić od zapomnienia złożone i tragiczne losy ludzi wywodzących się z Wileńszczyzny – wszak nie ma rodziny, którą by oszczędziła gehenna wojny i późniejszych „porządków”.

¹ *niekrasijowj ženszcziny* – brzydkiej kobiety (ros.).

² *pogołowno* – dosłownie: co do głowy, wszystkich, co do jednego (ros.)

³ *parsiuczek* – prosiak (gwara wil.).

⁴ *spiecpieresieleniec* – przesiedleniec o charakterze specjalnym (ros.).

⁵ *barża* – barka (ros.).

⁶ "Matko, u nas kula kosztuje cztery kopiejki, a ty i tak tutaj zdechniesz. Za darmo." (ros.).

⁷ *Niurskij Lesozagotowitielnyj Punkt* – Niurski Punkt Skupu Drewna (ros.).

⁸ *uczastok* – dcinek (ros.)

⁹ *posielenije* – osiedlenie, zesłanie (ros.).

¹⁰ *nadziratiel* – dozorca, obozowy (ros.).

¹¹ *bumaga* – papier, dokument (potocznie, ros.).

Syberyjskim szlakiem Dargiewiczów. Część I.



Krzyż w śniegu
1902. Olej na płótnie. 104 x 128 cm.
Własność prywatna.

Romuald Mieczkowski

Widziałem w dzieciństwie takie zdjęcie: opatulona w łachmany para starszych ludzi stoi gdzieś w lesie. Rodzice mówili, że zdjęcie przysłała rodzina z Syberii. Dalsza. Prababka kobiety, będącej na fotografii, była siostrą mojej prababki.

Na stole – dziesiątki zdjęć z Syberii. Przeglądamy je z Tadeuszem u jego w domu – w Olsztynie. To cud, iż z nieludzkiej ziemi zachowały się one. W jaki sposób, to oddzielna historia, o której później. Wykonał je Adolf Dargiewicz. Zaczyna płynąć rozmowa, a wraz z nią – obraz tragedii, jak też szczęścia, bardzo wymiernego – że się po prostu zostało żywym. A tak przecież trudno było żyć w tamtych czasach rodzicom deportowanych, bo młodzi, jak to młodzi. Dla nich inaczej mierzyl się czas, nawet w tych poniżających godność ludzką warunkach.

Na Wileńszczyźnie

Z Tadeuszem wyjaśniamy stopień naszego pokrewieństwa. Jego ojciec miał na imię Franciszek, matka – Wiktoria. Przed wojną

gospodarowali na 4 hektarach w Porubanku pod Wilnem. Kiedy rozbudowywano lotnisko, władze polskie wykupiły ziemię, płacąc zupełnie nieźle. Tyle, że za otrzymane pieniądze Dargiewiczowie kupili... 44 hektary w Baraszkach, niedaleko Rudamina. Prawda, najwięcej było lasu, w tym ziemi ornej niewiele, ale opłacało się – rodzina liczyła ośmioro dzieci. W domu nigdy nie przelewało się, ale i głodu nie było. Wszyscy dużo pracowali. Zaplanowali sobie wykarczować część lasu. Prace utrudniał na obrzeżach obfity w kamienie grunt. Był to wielki wysiłek. Praca odbywała się bez jakiejś techniki – jako narzędzie służyła specjalna żelazna brona, ciągnięta przez konia – reszty miały dopełnić własne ręce, przede wszystkim starszego rodzeństwa, braci Tadeusza – Bronisława, Mieczysława, Wilhelma, Adolfa, Franciszka- juniora.

Wykarczowano osiem hektarów. Drzewa na opał było bez ograniczeń, a i pięknego budulca też. Wzniesiono przestronny dom wraz z zabudowaniami gospodarczymi, wykopano studnię i staw, w którym miały być ryby – karasie i karpie – na święta, do posmakowania. Wielkim wzięciem cieszyła się łaźnia. Ze wszystkich stron, żeby w niej „poparzyć się”, ściągali sąsiedzi, przyjeżdżali z Wilna znajomi.

Pracowali ciężko, ale po pracy ileż było radości! Miejscowość piękna, słowiki śpiewały, a i do Wilna – ręką podać. I perspektywa zrobienia wzorowego gospodarstwa, i radość z tak licznej rodziny, prawdziwego klanu na własnej ziemi.

Idylla trwała niedługo – do wybuchu wojny. Bronisław i Adolf zostali ranni w 1939. Wojna, jak to wojna, trudne były czasy. Mieszkali na uboczu, więc byli pod szczególną obserwacją. Jednego razu, kiedy przybyli dwaj policjanci litewscy i ubliżali rodzicom, bracia mający doświadczenia wojenne ich... rozbroili. Policjanci zaczęli przeżywać i płakać, że Niemcy ich rozstrzelają, zaklinali na litość i własne rodziny – żeby tylko oddać broń, a już więcej nie będą nachodzić w taki sposób. Kiedy broń im oddano, policjant o nazwisku Mordas strzelił i Bronisława położył na miejscu, drugiemu bratu, który przyczynił się do rozbrojenia, udało się zbiec do lasu...

Nie mniejsza gehenna była w czasach sowieckich. Dargiewiczowie dla nowej władzy byli klasycznymi wrogami, których nie można było nie rozkułaczyć. Ale nie od razu. Stopniowo zabierano wszystko, a co zostawiano, okładano niemiłosiernymi, ponad możliwości ludzkie podatkami. Potem zapadła decyzja wywózki, wszystkich razem. Robili więc wszystko, żeby nie przebywać wspólnie. Mężczyźni ukrywali się, nocowali w stodołach i różnych kryjówkach.

Kiedy zabrano do nowo utworzonego miejscowego kołchozu „Aurora” ostatnią krowę, zaś ta wróciła po paru dniach, to jeden z braci – Mieczysław – nie potrafił ją znowu oddać, wtedy „dla postrachu” strzelał w jego stronę niejaki Kaczanowski, z politruków, który prawdopodobnie w okresie późniejszym

wyjechał do Polski. Mieczysław dostał tak wielkiego szoku, z którego nie uwolnił się już do końca życia. Spędził je w szpitalu dla umysłowo chorych w Nowej Wilejce, samotnie zmarł. A już miał odbyć się jego ślub z młodą dziewczyną po sąsiedzku, wyszły nawet zapowiedzi w kościele rudomińskim...



Ferdynand Ruszczyk Most zimą.

Mieli też trudności enkawudziści z Adolfem. Zimą nocował w stodole, był przykrywany deskami w stogu siana, dokąd Tadeusz, jako najmłodszy, nosił jedzenie. Pracował w polu, przebrany... za

kobietę; akurat kopał ziemniaki, kiedy dwóch mężczyzn na koniach zwróciło się do niego z pytaniem, gdzie może być Adolf. Wskazał byle jaki kierunek. Żeby mieć zmieniony głos, trzymał w buzi chyba mały ziemniak. Odjeżdżając jeden z enkawudzistów splunął, mówiąc, że w życiu nie widział tak niekrasiej zenszczyzny¹. Kiedy się połapali, Adolf ukrył się.

- Jeden raz w życiu musiałem wyrzec się ojca - opowiada mój rozmówca. - Przyjechali z zamiarem nas wszystkich zgarnąć. Ktoś widocznie doniósł, że ma wrócić z miasta, dokąd pojechał do młyna. Jako podrostka wsadzono mnie do samochodu, by wskazać ojca. Serce mi mocniej zabiło, kiedy zobaczyłem, jak na Lipówce furmanką jedzie ojciec, ale udałem, że nie znam tego człowieka...

Tak nie mogło długo trwać. Na początku lat pięćdziesiątych wywożono w sposób planowy - całymi rodzinami, o które przecież tak troszczyła się władza sowiecka, a jeszcze bardziej o to, żeby nie było buntów, żeby rusyfikować „wrogów” nowego ustroju *pogołowno*² i „wychowywać” ich przez pracę.

Kiedy 2 września 1951 roku sowieci dość mieli zabawy w kotka i myszkę i przyjechali po Dargiewiczów, głowa rodziny schował się pod łóżko. Na Syberię dowieźli go później, po wielu perypetiach „złączono” go z rodziną.

Na spakowanie dano pół godziny. Pośpiesznie zakłuto parsiuczka³, z sobą zabrali cztery worki kartofli. Z takim bagażem trafili na stację kolejową w Landwarowie. Stąd zaczynała się droga, która na zawsze oddaliła Dargiewiczów od ziem ojczystych. Wywózki uniknęła Anastazja, tuż przed nią wyszła za męża, nie zabrano Mieczysława, jako nieobliczalnego w swej chorobie, a taki nie był potrzebny ani na Syberii, ani groźny tu na miejscu.

Trudno dziś powracać do tamtych dni. Tadeusz Dargiewicz milczy przez pewien czas. Potem kontynuuje opowieść. O zgiełku i rozpacz na stacji Landwarowo, gdzie do bydlęcych wagonów ładowano ludzi wraz z pośpiesznie zabranym dobytkiem, który był w zasięgu ręki. Zapamiętała się mu taka scena: młoda kobieta wsadza dziecko do worka i przerzuca go przez kolczaste druty...

- I oto jesteśmy w drodze - opowiada. - Z zakratowanego okna wagonu z niepokojem obserwujemy teren. Po dwóch dobach jazdy zobaczyłem owies utkwiony do połowy w śniegu, a nad nim chmary wróbli, które wydziobywały małe ziarenka. Ściśnięci byliśmy w tym wagonie. Miał on numer 47, zaś wszystkiego wagonów było 56. Ciągnęły je dwie lokomotywy. Kiedy zagłębialiśmy się dalej na Wschód, robiło się chłodno. Dano więc nam piecyk, potocznie zwany burżujką. Najgorszy był moment załatwiania własnych potrzeb. Przez dziurę w podłodze wagonu.

Parawan z koca służył za osłonę. Potem zaczęto nas wyprowadzać na peronach, w eskorcie żołnierzy. Ludzie byli wykończeni. Choć na stacjach panował chaos, mało kto myślał o ucieczce. W większości jechano rodzinami, więc trzymano się razem. Na stacjach dawano kapiatek - wrzątek. Musiał go przynieść ktoś z wagonu. W naszym wagonie zajmowała się tym kobieta, która dziecko zostawiła za drutem. Jednego razu nie wróciła. Ciekawe - zastanawia się Tadeusz, - jakie były jej losy, co stało się z dzieckiem, czy się spotkali?

Podróż trwała trzy tygodnie, aż wszystkich pod koniec września 1951 roku wysadzono w Tomsku. Nie był to kres przymusowej wędrówki. Nad stromym brzegiem Obi utworzono ogromny obóz spieczeresielenców⁴, którzy mieli „trochę szczęścia”, bo był to łagodniejszy wymiar kary - ludzi tych mogła jeszcze „wychować” mordercza praca, wyrzeczenie się swej narodowości i deklaracja, że „dobrowolnie” chcą tu pozostać.

W miarę przybliżania się do tego miasta, zasieków z kolczastego drutu przybywało. Jak sięgnąć wzrokiem, rozpościerały się łągry. Było tu już chłodno, ludzie brali drzewo z brzegu rzeki i mimo zakazów, palili ogniska. Czekano na dalszy etap zesłania - w głąb tajgi, już drogą wodną.

- Strasznie wyglądało to czekanie. Nękały nas najgorsze przeczucia, tyle przecież wiedzieliśmy o okrucieństwach

Sowietów - wspomina mój krewny. - Siarczyste przekleństwa po rusku. Czekaliśmy jeszcze jedna podróż, która trwała tydzień, z przesiadką z barży⁵ na mały statek, który od Obi popłynął w górę rzeki Czaji. Barża ciągnięta była przez statek. Ludzie, schorowani i zdeterminowani, zajęli miejsce w jej dole, w wielkim brudzie i ciasnocie, jak śledzie w beczce. Matka przez cały czas płakała, w pewnym momencie nie wytrzymała i zwróciła się do żołnierza z wycelowanym do ludzi karabinem ze słowami, żeby zastrzelił ją. Żołnierz na to uśmiechnął się i powiedział: „Mat’, u nas pulia stoit czetyre kapiejki, a ty i tak zdzieś padochniesz, даром.”⁶

Tadeusz znowu robi przerwę. Głos mu drży. A potem, żeby odejść od smutnych wspomnień, opowiada długo, ze szczegółami o statku. Jako małego chłopca interesowała go technika, więc zapamiętał, że statek, którym płynęli Czają, był napędzany drewnem, a była to machina, jakie czasem widzimy na starych filmach - ze śrubą przez środek statku, z urządzeniami w kształcie koła z łopatkami z desek, jakie spotykało się w wodnych młynach. Takie koła były po obu stronach burty. A wokół las. Taki sam. W nieskończoność.

Kiedy dotarli na miejsce, trzeba było przejść kładką, zawieszoną wysoko nad wodami rzeki. Tadeusz pośliznął się i dosłownie w ostatniej chwili za kark go złapał żołnierz. W dole została brunatna toń zimnej wody, która czasami śni się mu w snach

syberyjskich. Ale podróż nadal trwała. Dalej była rzeka Niursa. Nad jej brzegami mieli wydatnie przyczynić się do przerzedzenia tajgi w miejscowym LZP - Niurskim Lesozagotowitielnym punkcie⁷. Tu poznali nową władzę - kierownikiem участка⁸ był niejaki Błochin, komentantem od NKWD - Korowin, jego zastępcą - Kobielow. Co do imion Tadeusz dziś nie ma pewności, natomiast tych nazwisk pamięć w żaden sposób nie potrafiła ich wymazać.

- Miejscowi ludzie zapytali żołnierzy, kogo przywieźli - ciągnie opowieść, - a żołnierze na to: „Eto biełyje bandity.” Mój Boże, to my byliśmy bandytami!

Pierwszym ich miejscem posielenija⁹ była „Wośmaja - Ósma, następnie - Zawodskaja, potem - Lesnaja. Wszędzie to samo, bez prądu, z dala od świata i większych osiedli. I wszędzie tacy sami towarzysze niedoli - Polacy, Ukraińcy, Litwini, Niemcy...

W każdym miejscu, nawet tym najgorszym, po wyplakaniu wielu łez, apatii i bezsilności, przychodzi czas pogodzenia się z losem, czas układania sobie życia w nowych warunkach. Na początku spiecziesielencom dano baraki, przedzielone sienią na dwie części - męską i żeńską. W każdym rogu było po pięciu. Spano na żelaznych łózkach. Baraki przypominały więzienie, co sprawiało, że nastrój był przygnębiający. Dla zapomnienia się Adolf Dargiewicz namawiał kolegów do śpiewania patriotycznych

piosenek polskich, na co krzywo patrzyli nadzirатели¹⁰, ale nie mogli nic powiedzieć, bo nie rozumieli, o czym jest mowa w tych piosenkach. Powoli strach ustępował, bo i dokąd to jeszcze można było zesłać? Co jeszcze człowiekowi odebrać prócz życia?

Na początku to najgorzej było z podpisaniem bumagi¹¹, że się chce w tym miejscu pozostać „dobrowolnie” – na całe życie. Nikt nie chciał tego czynić. Co tylko nie robiono z opornymi! Wsadzano ich do ziemiarki, nie tyle piwnicy, co naprędce kopanego dołu.

- Pamiętam, jak w takim dole siedział mężczyzna w mundurze żołnierza. Wojska Polskiego. Tak ubranego właśnie przywieźli go tutaj - opowiada Tadeusz Dargiewicz. - Nazwisko miał Antonowicz. I musiał biedny podpisać na siebie wyrok. Potem jakby nieco ulżyło, bo zaczęły krążyć plotki, że jakieś zmiany będą. I podpisy, które złożyli ludzie, nie będą cyrografem ostatecznym.



Krajobraz

1902. Olej na płótnie naklejonym na tekturę. 46 x 45 cm.

Lwowska Galeria Sztuki.

Swój dom w tajdze

Życie w barakach miało swoje prawa. Rodziny były podzielone,

więc Dargiewiczowie postanowili zbudować sobie dach nad głową. Taka możliwość istniała. Zazwyczaj domy budowano tu bez jedyne go gwoźdźdza, miały one dwa małe okienka, w środku – gliniasty piec i prycze. Poślanie było z wiór, dla odmiany bywał mech. Jeszcze jeden piec w okresie letnim rozpalano przed domem. Nie było studni. Miejscowi Rosjanie mówili, że jej wykopanie jest rzeczą niemożliwą. Wodę więc zimą brano ze śniegu, latem, gdzie się tylko dało, najczęściej spod karczwy. Była to brunatna ciecz o specyficznym zapachu i smaku.

W takich domach było niezwykle ciasno, ludzie nie mieli dosłownie nic, panowała niewypowiedziana nędza, wręcz prymitywne bytowanie. Ale nie można było odebrać tej małej namiastki wolności, dzięki której mogli mówić w swych ojczystych językach, do woli modlić się i wypłakać, z dala od cudzych oczu.

Jako-tako układali sobie życie. Najlepiej sobie radzili Niemcy. Ich domki wyglądały schludnie, wzniesione były z dużą pomysłowością. W ogóle to dziwne – zastanawiał się nieraz w trakcie swej opowieści Tadeusz, że człowiek w warunkach tak ogromnego przygnębienia zachowuje tak wielką chęć życia, dąży do zapuszczenia korzeni – na obcej ziemi, z uporczywą myślą, że na krótko.

Po pół roku dowieziono ojca, choć żadna to pociecha, że nie

udało się mu ukryć. I wtedy przystąpiono do budowy domku. Ojciec ociosywał bierwiona, które przekładano mchem. Z wybudowaniem tego gniazda na obczyźnie poczuli się różnie. Choć było ciasno, to ciepło w czasie trzaskającej mrozami zimy. Najgorzej było wiosną - w szparach siedziały jakieś syberyjskie świerszczyki, które wydawały bardzo głośne i nieprzyjemne dźwięki, wyłaziło też różne robactwo i wszechobecne w tych stronach karaluchy.

Sąsiedzi

- Spośród naszych syberyjskich sąsiadów - wspomina mój krewny - było dużo ludzi spod Lwowa, Stanisławowa, Halicza. Niemal wszyscy znali polski. Niektórzy mówili po ukraińsku, ja też nauczyłem się tego języka. Za wyjątkiem Niemców, byli też inni obok nas ludzie - jak to się potocznie mówi z Kresów. Od nich też wziął swój początek miejscowy cmentarzyk.

Żyło się bardzo zgodnie ze sobą. To Tadeusz podkreśla kilkakrotnie. Prócz ludzi wspomnianych narodowości byli też Rosjanie. Mieli oni jednakże inny status, który pozwalał im zajmować kierownicze stanowiska. Byli to też zesłańcy, nawet ci z ramienia NKWD musieli gdzieś „przeskrobać się”. Miejscowych od razu można było odróżnić. Byli wyrozumiali, podobnie, jak potomkowie wcześniejszych zesłańców. Jeden z nich to nawet żegnał się, interesowała go wiara w Boga. Należał do grona tych,

których przodkowie może trafili tu jeszcze za cara.

Patrząc na *specpieresieleńców*, Rosjanie kiwali milcząc głowami. Znacznie wcześniej od obecnych zesłańców, ich rodzice przekonali się na własnej skórze, co to znaczy być kułakiem. A przecież wielu z nich posiadało gospodarstwa, stadniny koni, zakłady i sklepy. O tym głośno nigdy się nie mówiło, ale wszyscy wiedzieli. Swą gorycz topili w wódce. Jeden z potomków jakiegoś znanego rosyjskiego rodu przedsiębiorców Tadeuszowi powiedział tak:

- Cała nagroda za pracę, to butelka wódki. Jak nic nie można mieć przy tej władzy, to co robić? Z pijanego, to i *spros*¹³ mały i nie narazisz się proletariatowi...

Różni byli ludzie spośród miejscowych. Serdeczni i uczciwi, prawdomówni i bardzo skryci. Wśród nich byli i donosiciele.

- Kiedy poszedłem do brata, który pracował w innym *posiołku*¹⁴, osiem kilometrów od nas, by go odwiedzić i porozmawialiśmy sobie po polsku, ktoś doniósł, że poszedłem buntować - wzdycha Tadeusz, - no, i musiałem oberwać.

Zresztą co się dziwić ludziom? Byli kompletnie zdezorientowani, ciągle wmawiano im, że mają do czynienia z „wrogami ludu”. Informacja docierała tu skąpa i odpowiednio spreparowana. Żeby

ludzie zbytnio nie główkowali, dano im pracę nieludzko ciężką i za marny grosz. Byle tylko utrzymać się przy życiu. Pod warunkiem, że zdrowie nie nawali.



Ferdynand Ruszczyc, Stare jabłonie.

Wychować miała praca

I o tym ciągle przypominano *specpieresielencom*. Ojciec mojego rozmówcy, Franciszek Dargiewicz, tak się szczęśliwie ułożyło, nie pracował ciężko fizycznie. Był zajęty przy koniach, robił uprząż, co w tamtych stronach mało kto potrafił. Była to rzadka tu umiejętność.

Do podstawowego zajęcia natomiast należał wyrąb lasu. Były

wyznaczone „normy” - i chcesz czy nie, miałeś je wykonać. Trzeba powiedzieć - podkreśla w rozmowie Tadeusz - pracowano szczerze i uczciwie, nawet zbyt uczciwie - po chwili poprawia. Taki sąsiad Dargiewiczów w niedoli Krasowski, to z przepracowania na zawsze pozostał w tajdze, znajdując tam miejsce wiecznego spoczynku.

Krasowscy pochodzili również z Wileńszczyzny. Ich dziadek był w Krasnojarsku. Pisali podania, bo chcieli być razem. I przyjechał - bardzo sympatyczny, wykształcony starszy pan. Przez cały czas kogoś dowozili w ramach „łączenia” rodzin.

Piłowane drzewo ładowano do tzw. motowozów. Taka lokomotywa była napędzana *czurką*, czyli brzożowymi kłocami, które służyły jako paliwo. Oczywiście, większe i potężniejsze motowozy napędzane były ropą. Dowożono też nimi ludzi do pracy. Zimą w środku wagonu instalowano burżujkę.

A praca rzeczywiście była dla wytrwałych. Zmuszano harować na mrozie, nawet przy temperaturze niższej minus 43⁰, choć był jakiś regulamin zabraniający pracy w takich warunkach.

- Jednego razu - opowiada Tadeusz - kierownik lesozagotowitelnego punkta Trikoz zobaczył, że w czasie siarczystego mrozu ludzie obiad jedzą w baraku. Ze złością przewrócił stół, wylewając kipiatok. Żadne perswazje nie

pomogły, poszli pracować. Nic dziwnego, że niektórzy nie wytrzymałi, albo zostali do końca życia kalekami. Dobrze i to, że drzewa nie żałowano – niekiedy przy ogrzewaniu zziębniętych rąk, zapalały się kufajki. A ubranie trzeba było bardzo szanować – na rok przydzielano jedną parę kierzowych butów, kto znosił je szybciej – miał biedę, inne ubrania przydzielano jeszcze rzadziej.

Piły były motorowe. Istniały już stacje elektryczne, uruchamiano dzięki temu pracujące na ropy generatory. Prawda, jak był większy mróz salarka, czyli ropa stawała się gęsta, ale jakoś to pracowało. Każdy z drwali miał 200-300 metrów kabla, żeby się podłączyć. Pracować od takiego zasilania mogło naraz pięć-sześć pił. Przy wyrębie zatrudniano również kobiety. Dla nich była praca „łatwiejsza” – siekierkami oczyszczały drewno z gałęzi. Ciężko pociły się konie przy wakałuszach – krótkich saniach do wożenia kłoców drewna. Wykorzystywano i traktory, ale w tym kraju wszystkiego brakowało, a mechanizmy ciągle się psuły.

Były, rzecz jasna, i własne piły. Z bardzo cienkim ostrzem, łękowate. Zakładali się leSORUBY¹⁵, że najgrubsze drzewo taką z pozoru małą piłą zetną w ciągu pięciu minut. I ścinali. Życie ich nauczyło wielkiego mistrzostwa. Piła była ważnym narzędziem w tajdze – był nawet specjalista, który je szykował i naprawiał. Nazywał się piłopraw.

Ścinane kłocce zwożono z tajgi nad brzeg rzeki. Tu układano je

sztabelami¹⁶. Od wiosny drzewo spławiano w dół do Obi. W tym czasie trochę więcej można było i grosza zarobić – chodziło o to, żeby jak najszybciej kloce zepchnąć do rzeki, bo jeśli drzewo można ścinać przez cały rok, to czas spławu ograniczony był klimatem. Przy pracy w lesie dochodziło często do nieszczęśliwych wypadków, ludzie ginęli, bądź tracili zdrowie i nikt za to nie odpowiadał.

Istniały inne zajęcia. Robiono drewniane części do broni. Inne zawody należały do „elitarnych” i rzadko kto je ze specjeresieleńców wykonywał. Niektórzy, prawda, pracowali przy bydle, szykowali siano na zimę.

Z tym szykowaniem siana to bardzo rzecz dziwna była. Otóż miało się wrażenie, że stogi są bardzo duże, a w zasadzie siana było tam niewiele. Z różnych powodów. Przede wszystkim należało zrobić podłoże, bo grunt był podmokły – ponadto wypadało dużo śniegu, więc tak łatwiej można było je wydostać. Stogi układano więc wysoko – na gałęziach, karczach. Po drugie – wykonując „normy”, starano się ze wszelkich miar wykiwać nacjonalizm.

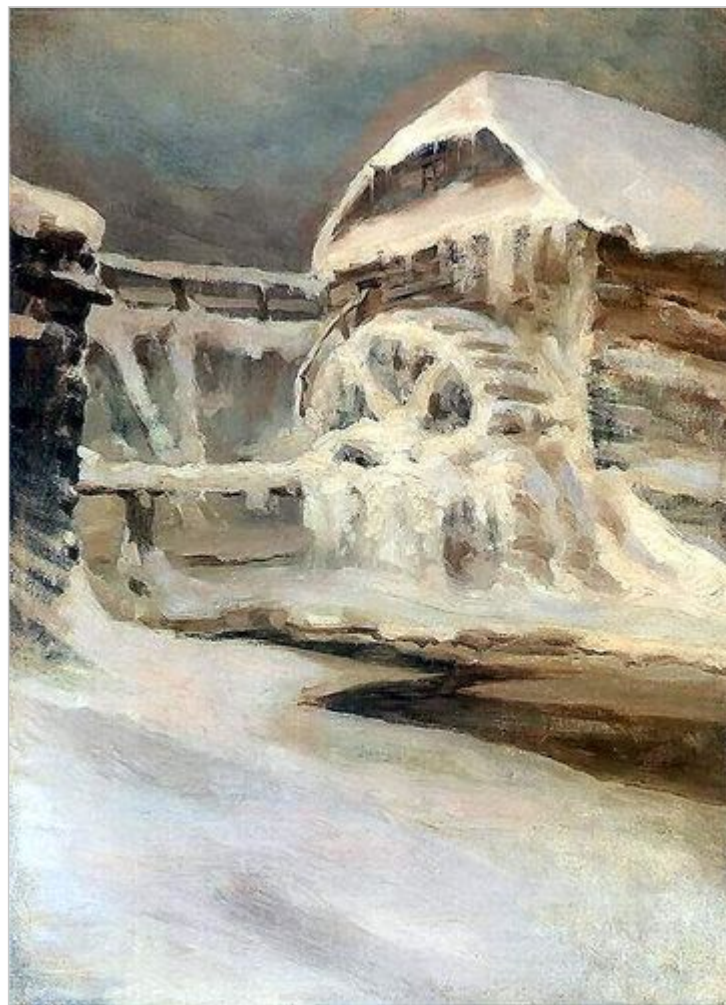
Obok picia wódki takie oszukaństwo, jak też przekupstwo czyli łapówki, należało do czynności, których w tych warunkach musieliśmy obowiązkowo się nauczyć. Ma się rozumieć, gdyby wszystkie zalecenia, instrukcje i rozkazy przyjmować serio, ofiar

- zupełnie niepotrzebnych - byłoby znacznie więcej. Tu życie ludzkie rzeczywiście nic nie znaczyło - z wielkim trudem, niezwykłym poświęceniem przygotowane drewno, gniło gdzie indziej lub spisywano na straty. Nawet nikt nie nazywał tego niegospodarnością. Drzewa, jak i innych surowców, w tym kraju nie musiało nigdy zabraknąć.

Przy wyrębie lasu gramatności nie potrzeba było. Może trochę więcej można było ją spożytkować, kiedy trafiało się do ekspedycji. Ale najczęściej brano do niej głównie kobiety - żeby nie tracić męskiej siły roboczej. Ekspedycja polegała na tym, że wytyczano szlak, którym drzewo dostarczano nad brzeg rzeki, wytyczano też szlak dla kolei. Na czele takiej wyprawy stał ktoś z władz.

I tak mijały dni na nowej ziemi. Mijały kolejne rocznice zesłania, niezliczone kłocę potężnych cedrów syberyjskich, ściętych rękami Polaków, płynęły w kierunku Obi, a stamtąd dalej, ku sławie „socjalistycznej ojczyzny”.

Zajęcia specpieresielenca Tadeusza



Ferdynand Ruszczyk Młyn zimą.

- Jestem najmłodszy z rodziny, w momencie przybycia na Syberię miałem 16 lat. Nie mogli mnie zatrudnić przy wyrębie lasu, bo wtedy byłem pacan²⁰ - mówi mój krewny - Pierwszym moim solidniejszym zajęciem, jeszcze na etapie, przed wyruszeniem w głąb tajgi, było odwszawianie. Zawód nazywał się weszoprud czasami weszoboj. Obsługiwałem dość skomplikowane ustrojstwo²¹ - ludzie oddawali mi swoje ubranie. Ja umieszczałem je w takim metalowym pojemniku, zawieszałem na blaszanych

jego ścianach, zaś u dołu był rozpalony ogień. Pod wpływem temperatury wszy wyłaziły z ubrań. Trzeba było uważać, żeby łachmanów nie spalić. Miałem obserwować termometr - żeby nie dawać więcej żaru niż na 90 stopni. Ileż kilogramów tego świństwa wtedy mogłem zebrać?! - dziwi się Tadeusz.

Potem był płotnikiem, czyli stolarzem, ze specjalnością wyrobu trumien. Fachu tego nauczył go nadwożański Niemiec, których licznie zsyłano w tych latach na nowe posielenija. Razem robili też ramy do okien, drzwi, inną stolarkę.

Przez pewien czas sprawował funkcję obchodczyka²², coś w rodzaju torowego. Do obowiązków należało dopatrywanie torów, po których jeździły motowozy. W tych warunkach klimatycznych dość często trzeba było je naprawiać.

Kim się tylko nie pracowało! Pomagał kowalowi, który „wszystko potrafił naprawić”, przyjaźnił się z jego młodszymi od siebie synami, mówiącymi pięknie po polsku. Mianowano go koniuszym, a konie były dzikie, gryzły, kopały... Szczególnie dobrą opiekę musiał mieć koń, którym jeździł towarzysz kierownik.

- Bałem się tych zwierząt - przyznaje się Tadeusz. - Jednego razu zmuszano mnie, żebym pojechał do miejscowości, odległej 50-60 kilometrów, samotnie nakarmić sianem byki. Kiedy poprosiłem, żaby ktoś pojechał ze starszych ze mną, komendant NKWD

Korowin tak wlepił mi w nos, że do dzisiaj pozostał skrzywiony. Byli różni ludzie, wielu serdecznych spośród mieszkańców, a w administracji, niestety, nie brakowało złych, wręcz podłych.

Chodził też pieszo 40-kilometrową trasą do osiedla Podgornoje, gdzie była poczta, żeby przynosić paczki. Ciężko było z nimi pokonać drogę, ale wśród innych były paczki od krewnych, a one pozwalały utrzymać się przy życiu. Na trasie mieszkali Rosjanie, u których można było przenocować. Niektórzy podejmowali bardzo gościnnie, nawet częstowali samogonem, mówiąc łagodnie: „Priwykaj, malczik.”²³ W jednym z domów Rosjanka pokazywała mu zdjęcia Polaków, zesłanych dawno przed nimi.

Kiedyś przydzielono Tadeusza pomagać Ukraińcowi, który pracował na kolei. Ale nie zrozumieli się i rozebrał... nie ten barak przy torach, który trzeba było. Bardzo się przestraszył, ale Ukraińiec, bardzo poczciwy człowiek, tylko machnął ręką.

Różne były zajęcia, tak też szybciej leciał czas.

Niestrudzony fotograf Adolf

Brat Tadeusza należał do ludzi bardziej oświeconych i wrażliwych. Miał wykształcenie średnie, interesował się historią, literaturą, a wiadomościami dzielił się z innymi. W tajdze pisał wiersze, które śpiewano jako piosenki.

Jest też Adolf autorem unikalnych zdjęć z Syberii. Jakimś cudem udało mu się zdobyć aparat fotograficzny, który przemycił do posielenija. Ryzykował tym, bo wszystkie cenne rzeczy należało oddać do kamiery chranienija²⁴. Ale jakoś potem ludzie przyzwyczaili się do jego aparatu - choć niektórzy bali się pozować do zdjęć.

Gdy ludzie nie chcieli pozować, Adolf mawiał: *Pamiętajcie, przyda się to.*

- No i przydało się - stwierdza jego brat Tadeusz, - komu do akt sądowych, komu do świadectw kombatańskich. Niektóre weszły do kroniki sybiraków, a wiele jeszcze nigdzie nie publikowano.

Tych zdjęć zachowało się kilkadziesiąt. Zebrane zostały po krewnych, którym niegdyś wysyłałi. Nie tyle z posiołka, co z miasta Kołpaczew, skąd mniej sprawdzano. A do miasta tego udawał się Adolf byle był jakiś pretekst, nawet symulując chorobę, bo tam mógł dokonać zakupów niezbędnych materiałów. Ale niełatwa była sprawa zrobienia odbitek bez prądu elektrycznego. Papier był więc naświetlany w specjalnym urządzeniu. Zasada jego działania była prosta: na krótko należało odsłonić otwór, przez który sączyło się... światło słoneczne. Taka klasyczna camera obscura! Jak wykazują zdjęcia - wyniki okazały się dobre, wręcz fenomenalne: bez względu na niemal półwiecze od tamtych czasów, zdjęcia nie pożółkły. Utrwały najcięższe

fragmenty życia rodziny Dargiewiczów, innych ludzi, którzy już nie żyją, jak również tych, czyje losy pozostają nieznane.

A przecież nie tylko nie wolno było robić zdjęć, ale też żadnych rysunków, zapisek! Jedno z takich zdjęć z podpisem „Pamiętka z Sybiru” otrzymała i rodzina Mieczkowskich.

- Pamiętam, jak na początku posielenija - opowiada Tadeusz, - kiedy jeszcze ojca nam „nie dowieziono” i w Tomsku oczekiwał na wiosnę, żeby wraz z innymi dotrzeć do nas drogą wodną, napisałem mu list z prośbą, żeby kupił mi grzebień ze względu na wszy. Ile miałem przykrości, gdy list trafił do naczalstwa! Potem miejscowi radzili, żeby o ważnych rzeczach w listach nie pisać, bo grzebień, to już „sprawa polityczna”. Jeśli coś prosić o przysłanie, to najlepiej dustu²⁵, który działał bardzo skutecznie na miejscowe insekty.

Przeoglądam po raz któryś zdjęcia, zrobione w dalekiej Syberii, i nie mogę ukryć podziwu dla tej pasji Adolfa Dargiewicza, zamieszkałego obecnie z rodziną w Białymstoku. Z fotografii na nas patrzą pieresielency, ubrani grubo w nędzne łachmany, cień niepewnego uśmiechu błąka się na ich smutnych twarzach. Zdjęcia ukazują różne strony życia na Syberii, ludzi przy pracy. Dopełniają one kronikę syberyjskiego szlaku nie tylko rodziny Dargiewiczów, lecz wielu, którym wypadło razem żyć i dzielić trudny los.



Ferdynand Ruszczyc, „Obłok”, 1902, olej
na płótnie, 110 x 80 cm, wł. Muzeum
Narodowe w Poznaniu.

Życie w tajdze

Choć los wypadł ciężki, to nie można było nie podziwiać majestatycznego i surowego piękna otaczającej przyrody. Mieszkańcy z naszych stron po syberyjskiej gehennie potem raczej nie spotykali tak dorodnych i olbrzymich drzew, które tu umierały stojąc, przeżywszy kilkaset lat. Dwa razy do roku – wiosną i jesienią – przechodziły bardzo groźne burze, które dokonywały naturalnej selekcji w tym dziewiczym lesie: padały drzewa stare i chore. Prócz cedrów rosły tu pichty, brzozy, osiki.

W sklepie w posiołku można było kupić orzeszki cedrowe, z których wypiekano kiedrozi - chrupowate placki o smaku oleju drzewnego. Był to przysmak, do którego się przyzwyczajało z konieczności. W dodatku nie pozostawała sucha patelnia.

Jak się mawiało - tajga karmiła. Rosły czarne jagody, żurawiny. Tylko trzeba było uważać, żeby nie zabłądzić. Jednego razu, we wrześniu - wspomina Tadeusz - znaleziono po kilku dniach poszukiwań ciała zamarznętych na śmierć zbieraczek żurawin - Polki, Rymszewicz, i Ukrainki. Pochowano je razem na miejscowym cmentarzu.

W tajdze rosło coś w rodzaju krzyżówki - między maliną a truskawką. Były to jagody z niskich krzaków, podobne do jeżyny, o słodko-kwaśnym smaku. Dopiero pod koniec zesłania Tadeusz odkrył w wąwozach zarośla dzikiej porzeczki. Jagody dostarczały niezbędnym organizmowi witamin. Gdyby był cukier, można by przygotować niezliczone zapasy konfitur. W tamtych miejscowościach natomiast zupełnie nie było grzybów - ze względu na duże zabagnienie terenu.

Ziemi mogłeś wziąć, ile tylko chciałeś. Nie był to teren wiecznej zmarzliny i dlatego rosły tu ziemniaki. Sadzono je przy pomocy łopat. Ziemniaki były bardzo smaczne. Może dlatego, że zawsze ich brakowało. Problem był też z ich przechowaniem - mróz trzymał od września aż do maja.

Przy wybitnie kontynentalnym klimacie nie notowano dużych wahań temperatur i lato było bardzo upalne - przyroda jakby chciała nadrobić czas śpiączki w chłodzie, więc cykle wegetacyjne odbywały się bardzo intensywnie. Ale była inna zmora - komary. Noszono specjalne siatki i grube ubrania. Żeby wydoić krowy, rozpalano ogniska, same zwierzęta były mniej narażone, ze względu na długą sierść. Ta rasa bydła była przystosowana do warunków tu panujących. Czasem bydlę wyruszało do... tajgi i zazwyczaj powracało, po tygodniu lub dwóch. Krowy były prawdziwą podporą tutejszego życia - nie tylko dawały mleko, można było zaprzęgnąć je do sań, by - na przykład - zwozić siano. Byków, jak też koni, spiecziesieleńcom trzymać było nie położono²⁶.

Kopalin użytecznych w tamtych okolicach nie było. W ziemi natrafiano na warstwy jakichś skorupiaków. Spotykano też jakiś minerał, wielkości grochu. Nie było żadnych skał i kamieni.

- Przyroda dla nie przygotowanych stawała się wrogiem. Żeby przeżyć, musieliśmy tak się dostosować, aby stała się naszym sojusznikiem - stwierdza mój rozmówca, a potem opowiada o świecie fauny tamtych stron.

Jakże on bogaty! Spotykało się niedźwiedzi, łosi, rysie. Miejscowi Rosjanie urządzali polowania, innym nie wydano zezwolenia na posiadania broni. Przymusowi osadnicy, żeby wyżywić się,

zastawiali sidła. Trafiały do nich przeważnie zające. Przed śmiercią wydawały tak żalosne głosy, że szkoda było tych zwierząt.

Niektórzy odżywiali się mięsem łosi. Z ich skóry robili podwijacze do szerokich nart, ze względu na bardzo puszysty śnieg. Na takich nartach dość wygodnie było przemieszczać się po zaspach – hamowało się pod sierść skóry.

Było jeszcze bardzo pocieszne zwierzątko w paski, które zapamiętał Tadeusz – morenduk. Pojawiał się na wiosnę. Gdy się potrafiło odpowiednio zagwizdać, zwierzątka podchodziły bardzo blisko, ale wystarczył najmniejszy nieostrożny ruch, żeby błyskawicznie umknęły. Wilków tu nie było.

W tajdze nie brakowało ptactwa. Były cietrzewie i głuszce, które z zachodem słońca chowały się do śniegu. Rano wylatywały z dużym łopotem skrzydeł ze swoich kryjówek. Spotykało się też dzięcioły. Zimą zabijały się one niekiedy na śmierć, gdy trafiały w lodowate drzewo... Zwierzęta – wydawało się – tak świetnie przygotowane do tych warunków, też czasem nie oszczędzały surowy klimat.

No, i jeszcze nie można zapomnieć o rybach. Tadeusz nigdy nie był zapalonym rybakim, ale na Syberii nie mógł przejść obojętnie, kiedy zobaczył, jak ryby dosłownie wyskakują z wody,

by połykać motyle, wyglądem przypominające nasze kapuśniaki. Ryby miały kolor srebrny i czerwone piórka, a nazywały się chyba krasnopiórki, czy jakoś tak podobnie. Jak one brały! Wyskakiwały ponad powierzchnię wody, byle tylko dać złapać się! Tadeusz przynosił całe ich wiadra i wtedy to była uczta. Tylko do rzeki nie było tak blisko - chyba ze cztery kilometry. Ale się opłacało, bo w rzece można było wykąpać się, choć woda była pioruńsko zimna. Prawda, ryby w postaci suszonej dostarczali nie tyle rybacy co kłusownicy, których w tych stronach nie brakowało.

- Nie należeliśmy do myśliwych, ani rybaków, to warunki zmuszały do tego, żeby jakoś przeżyć - podsumował Tadeusz.

druga część ukaże się w poniedziałek, 6 lutego.